Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 8 stron | Warszawa, 28 maja 1950 r. | Nr 9 Rok I

Biblioteka Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie

HENRYK MARKIEWICZ

PO ZJEŹDZIE POLONISTÓW

PORTRET Hugona Kołłątaja, widniejący na sali obrad Zjazdu Polonistów, zwołanego przed Kongresem Nauki Polskiej, nie był na tym miejscu tylko elementem dekoracyjnym. Walka ze skostniałą rutyną i obskurantyzmem naukowym, unowocześnienie studiów uniwersyteckich, stworzenie podstaw „Wychowania obywatelskiego" młodzieży, aktywny udział w politycznej walce o postęp — oto dziedzictwo czynów i myśli Kołłątaja, do którego nawiązuje wraz z całą przodującą nauką również polonistyka.

Dostosowanie nauki o literaturze do potrzeb życia społecznego, określenie jej zadań w planie sześcioletnim — stanowiło główny „cel strategiczny" Zjazdu. Bo przecież plan sześcioletni to nie tylko plan stworzenia wielkiego socjalistycznego przemysłu, rozwoju i częściowej przebudowy społecznej rolnictwa, plan dobrobytu mas pracujących. To również plan rewolucji kulturalnej. I słusznie porównywano na Zjeździe Polskę Ludową do młodego olbrzyma, który woła bez przerwy: — Więcej węgla, więcej metalu, więcej tkanin..., ale woła również: — Więcej nauczycieli, działaczy oświatowych, więcej bibliotekarzy i organizatorów życia kulturalnego...

Tych nieustannie rosnących potrzeb nie mogły zaspokoić dotychczasowe uniwersyteckie studia polonistyczne. W teorii miały one przede wszystkim wdrażać młodzież do samodzielnej pracy badawczej. W praktyce — rezultaty naukowe były wątpliwe. Niewątpliwy był fakt społeczny: polonistyka produkowała elitarną inteligencję, obsługującą potrzeby burżuazji. Do nowych zadań program i tryb nauczania był całkowicie nieprzystosowany. W ostatnich latach zarysował się ilościowy i jakościowy kryzys na odcinku kadr polonistycznych: liczba absolwentów była nikła, ich przygotowanie ideologiczne i zawodowe — słabe.

Wysiłki podejmowane przez poszczególnych postępowych profesorów nie mogły zmienić ogólnego stanu rzeczy.

Zaradza mu dopiero przeprowadzona obecnie reforma polonistyczna, której zasady przedstawiła na Zjeździe wicemin. Eugenia Krassowska. Wprowadzając dwustopniowość studiów, reforma wyodrębnia sprawę kształcenia kadr naukowych, a przyśpiesza wyszkolenie szerokiej rzeszy nowych nauczycieli, pracowników oświatowych, bibliotekarzy itd. Trzeba zaznaczyć, że przyśpieszenie to nie odbywa się kosztem obniżenia poziomu naukowego, lecz dzięki intensyfikacji trybu studiów (uprzednl „liberalizm" w tych sprawach demoralizował tylko młodzież) i dzięki konsekwentnie przemyślanemu ich programowi (dotychczasowy system wykładów wyłącznie monograficznych, opartych na osobistych zainteresowaniach naukowych profesora, ignorował istotne potrzeby słuchaczy).

Ale rewolucja kulturalna, której częścią składową i zarazem jednym z czynników sprawczych jest reforma studiów polonistycznych, nie sprowadza się do rozbudowy instytucji i wzrostu ilościowego kadr. Rewolucji kulturalnej nie można odczytać z najtrafniejszych schematów organizacyjnych i najbardziej optymistycznych cyfr statystyki. Musi ona być przede wszystkim rewolucją treści kulturalnych, rewolucją ideologiczną. Polonistyka nasza będzie naprawdę nowa tylko wtedy, gdy jej rezultaty naukowe i dydaktyczne będą uczestniczyć w kształtowaniu się nowej, socjalistycznej świadomości, tego nieodzownego warunku zbudowania fundamentów socjalizmu.

To było jasne dla uczestników Zjazdu — z obu stron barykady. I dlatego zasadnicze dyskusje toczyły się nie wokół takiego czy innego ustroju studiów polonistycznych, nie wokół takich czy innych form organizacyjnych badań naukowych. Osią Zjazdu była dyskusja ideologiczna — walka o prawdziwie naukową, marksistowską metodę badań literackich.

*

Nie był na sali zjazdowej przypadkowym elementem dekoracyjnym portret Kołłątaja. Nie był nim również emblemat Światowego Ruchu Obrony Pokoju. Na terenie badań literackich walka z idealizmem, wyrodniejącym w intuicjonizm, fideizm i mistycyzm a skojarzonym na przemian z kosmopolityzmem i nacjonalizmem — to nie tylko walka o prawdę naukową. To zarazem obrona przed penetracją światopoglądu imperialistycznej burżuazji, przed penetracją, która we wszystkich dziedzinach zmierza do ideologicznego obezwładnienia obozu pokoju i postępu. Należy to tym mocniej zaakcentować, że mit o nauce ponadklasowej, apolitycznej, o nauce jako „czystej" intelektualnej funkcji klerków, poszukujących „bezinteresownie" prawdy — był na Zjeździe zasłoną dymną najczęściej stosowaną przez przeciwników marksizmu. Zastrzegam się: metafora o „zasłonie dymnej" nie zawiera w sobie momentu insynuacyjnego, nie określa stopnia premedytacji w użyciu przez dyskutantów argumentu o ponadklasowości nauki. Ale przecież pan Jourdain mówił prozą bez względu na to, czy zdawał sobie z tego sprawę. Pewne tezy głoszone na Zjeździe pozostaną tezami nauki burżuazyjnej, bez względu na to, czy autorzy ich to sobie uświadamiają.

Referaty obrazujące stan badań nad poszczególnymi okresami literatury polskiej dowiodły zresztą najbardziej poglądowo, że działalność naukowa jest również rodzajem praktyki klasowej. Z goryczą uprzytomniliśmy sobie, iż od drugiej połowy XIX w., a więc niemal od swych naukowych narodzin, polonistyka była jedną z najbardziej agresywnych placówek ideologicznych burżuazji. Słabość tradycji postępowych stawia polskie literaturoznawstwo w sytuacji trudniejszej od sytuacji historyków literatury rosyjskiej, którzy w wielu dziedzinach mogli czerpać pełną garścią z osiągnięć wielkich krytyków rewolucyjno-demokratycznych XIX w., jak Bieliński, Dobrolubow, Czernyszewski, i późniejszych krytyków-marksistów, jak Plechanow i Worowski. Z drugiej jednak strony te nasze trudności równoważy ze znakomitą nawiązką — możność oparcia się na wzorach metodologicznych i doświadczeniu literaturoznawstwa radzieckiego.

Walka z idealistyczną (a to znaczy, ze względu na jej klasową funkcję: z burżuazyjną) nauką o literaturze rozgrywała się na Zjeździe w dwóch ściśle ze sobą połączonych płaszczyznach: teoretycznej i historyczno-literackiej. Literatura jako kierunkowe odbicie rzeczywistości, jako specyficzna forma świadomości społecznej, jako narzędzie walki klasowej; dynamika literatury jako ideologiczne odzwierciedlenie procesów walki klasowej; koncepcja człowieka — twórcy kultury, którego „istota jest w swej rzeczywistości całokształtem stosunków społecznych"; oparcie wartościowania na uniwersalnym kryterium postępowości i wsteczności — te fundamentalne zasady marksistowskiej estetyki, przedstawione w instruktywnym referacie Stefana Żółkiewskiego — nie wywołały ataku frontalnego przeciwników.

Ich taktyka była bardziej giętka. Nie polemizowali oni z marksizmem, lecz z przeciwnikiem dla siebie dogodniejszym — z wulgarnym ekonomizmem i socjologizmem. To przesunięcie było nie przypadkowe. Oczywiście, z pozoru krytykowano rzekome zacieśnianie problematyki do opisu zjawisk ekonomiczno-społecznych, zarejestrowanych w utworze lub do konstruowania programu politycznego pisarzy. W istocie jednak te niebezpieczeństwa występujące czasem u wulgaryzatorów, są dla przeciwników marksizmu najbardziej pożądane. Mogliby o nich powiedzieć: felicissimae culpae. Dlaczego? Bo przy takim zniekształceniu względnie zacieśnieniu marksistowskiej problematyki badawczej — inne tereny oddane by zostały na wyłączną „eksploatację" nie-markistom, co więcej — zachodziłaby konieczność eklektycznej syntezy. Eklektyzm metodologiczny „uwzględniający" marksizm to z pozoru tylko próba kompromisu; w istocie służy za parawan dla tendencji likwidatorskich w stosunku do marksizmu. To też hasło eklektyzmu spotkało się na Zjeździe ze słuszną odprawą. Wskazywano, że marksistowskie literaturoznawstwo to nie klucz do jednej szuflady literackiej z etykietką: „problematyka polityczno-społeczna" (badajmy więc „Satyra" Kochanowskiego metodą marksistowską, a „Treny" — metodą psychologiczną!), lecz filozoficznie określona, wszechstronna koncepcja literatury, jej dynamiki i wartościowania. Wszelkie kompromisy naukowe z systemami ideologicznymi są niemożliwe.

Sprawa stosunku marksistowskiego literaturoznawstwa do rezultatów innych metod badawczych wypłynęła również w dyskusjach nad referatami o historiografii literackiej. Referaty te, opracowane przeważnie przez lewicę polonistyczną, stanowią cenną pozycję naukową: zawierają nie tylko krytyczną ocenę sytuacji na poszczególnych odcinkach historii literatury, lecz często również nowe próby syntezy okresów literackch. Autorowie na ogół bardzo precyzyjnie potrafili oddzielić pozytywne osiągnięcia szczegółowe dotychczasowej nauki o literaturze od jej idealistycznego zaplecza filozoficznego oraz klasowej ograniczoności i kierunkowości. To słuszne rozróżnienie dało niektórym dyskutantom asumpt do generalnej obrony wartości tradycyjnej polonistyki, ba — do przypisywania jej jakiejś prekursorskiej wobec marksizmu roli. I znowu dyskusja zjazdowa wyjaśniła, że bogaty materiał źródłowy, mistrzowska robota filologiczna i komentatorska, trafne spostrzeżenia i odkrywcze interpretacje (w jakie obfituje np. twórczość naukowa prof. Juliusza Kleinera) — że te wszystkie zdobycze prowadzą tylko do prawd cząstkowych. W celu naukowego ich wykorzystania niezbędne jest „oderwanie" ich od przesłanek ogólnych, od zasadniczych koncepcji filozoficznych i historycznoliterackich, z których wyrosły. Dlatego, przy bogactwie słusznych stwierdzeń szczegółowych nie znajdujemy w idealistycznej nauce o literaturze ani jednej prawidłowej syntezy dzieła literackiego, czy twórczości pisarza, nie mówiąc już o prądzie literackim. Dlatego krytyka marksistowska, oddając sprawiedliwość osiągnięciom tradycyjnej polonistyki, korzystając z nich, ani na chwilę nie stępia walki z metodami idealistycznymi. Zdobycze naukowe, o których mowa, osiągnięte zostały przez wybitnych badaczy nie **dzięki** metodom idealistycznym, ale **mimo** ich stosowania.

Jest rzeczą charakterystyczną, że przedstawiciele tradycyjnej polonistyki, uogólniając na jej korzyść oceny pozytywne, nie próbowali w zasadzie podjąć polemiki ze słuszną krytyką jej wstecznych koncepcji teoretycznych i metodologicznych (dilletheizm, formalizm, pozostałości filologizmu) ani z surową oceną jej politycznej funkcji, która była mniej lub więcej świadomym wykonywaniem zamówienia społecznego burżuazji.

Nie było również prób zasadniczej polemiki z nowymi interpretacjami prądów literackich. Obrona własnego dorobku często jakby przesłaniała dyskutantom kluczowe zagadnienia naukowe. Jeśliby sądzić z obrad zjazdowych (a są i inne ku temu podstawy), duży odłam tradycyjnej polonistyki wszedł w okres jałowego aleksandrynizmu. Konstatacja to tym bardziej przykra, że uczeni ci rozporządzają nieraz imponującą erudycją i świetnie zorganizowanym warsztatem naukowym.

*

„Jestem czwartym z kolei referentem, któremu powierzono przedstawienie stanu badań nad literaturą romantyczną" — mówił Kazimierz Wyka po najbardziej może zaciętej dyskusji zjazdowej, zakończonej bezspornym zwycięstwem głównych tez referatu. — „Jeżeli czwarty z kolei strzelec osiąga tak pozytywne rezultaty, to znaczy na pewno jedno: że broń jest dobra".

Kolejność, o której wspominał K. Wyka, była oczywiście sprawą przypadkową. Istotny jest wniosek inny: marksizm-leninizm staje się istotnie coraz bardziej skuteczną, precyzyjną i sprawną bronią w ręku postępowych badaczy. Referaty zjazdowe były świadectwem dalszego pogłębienia świadomości metodologicznej polonistów-marksistów, wyostrzenia ich aparatu badawczego, śmiałego, dalekiego od wszelkiego dogmatyzmu atakowania trudnej problematyki. Zjawiskiem bardzo dodatnim jest również i to, że postępowa część polonistyki, która wyszła z pozycji eklektycznych, wyzbywa się coraz konsekwentniej tych obciążeń i zdecydowanie wkroczyła na drogę marksizmu, omijając często w takich wypadkach etap wulgarnego socjalogizmu.

Wszystko to jest niewątpliwie rezultatem sumiennej pracy teoretycznej, przyswajania sobie zdobyczy literaturoznawstwa radzieckiego, ale jest również rezultatem narastającego, coraz dojrzalszego doświadczenia społecznego tych pracowników nauki, którzy stanęli przy klasie robotniczej do budowy socjalizmu. Nauka, pracująca dla życia, korzysta zarazem z jego nauk.

Sprawozdawca nie uważa się za powołanego do stawiania cenzurek poszczególnym referatom, tym bardziej, że wobec równoczesnych obrad 4 sekcji, z wieloma pracami nie mógł się zapoznać. Zanim zostaną one udostępnione w druku (w „Pamiętniku Literackim", „Twórczości" i specjalnym pamiętniku Zjazdu), niech będzie wolno stwierdzić, że referaty i dyskusje zjazdowe wykazały dowodnie wyższość metody marksistowskiej w literaturoznawstwie, wykazały, że mamy już poważną kadrę pracowników naukowych, którzy metodą tą umieją się sprawnie posługiwać, wykazały, że kadra ta nieprzerwanie rośnie. I to jest wniosek zjazdowy, bodaj najbardziej napawający optymizmem. Wzrost ten należy rozumieć tak w sensie jakościowym — o którym była mowa — jak ilościowym.

Na Zjeździe uwyraźnił się bowiem proces rozwarstwienia zachodzący wśród starszego i średniego pokolenia tradycyjnej polonistyki. Proces ten rozwija się oczywiście na ogólnym podłożu przemian społecznych w Polsce Ludowej, lecz nie bez istotnego wpływu jest tu oddziaływanie metody marksistowskiej. Sądząc z wystąpień zjazdowych, doprowadził on narazie do rezultatów skromnych — do swoistego socjologizującego eklektyzmu, przy czym wywody o ambicjach wyraźnie marksistowskich nie wyglądały budująco. Ale proces ten rozpoczął się niedawno i jego przyszłych możliwości nie trzeba lekceważyć. Zjazd — jak dowodziły niektóre wypowiedzi — zintensyfikował te przemiany i częściowo naprostował ich kierunek, usuwając istniejące jeszcze nieporozumienia wokół marksizmu. (Z tego miejsca należy — jak sądzę — zasygnalizować, że nieporozumienia takie dość często słychać było w nauczycielskich głosach dyskusyjnych).

Pisząc poprzednio o ilościowym wzroście marksistowskich kadr polonistycznych miałem jednak na myśli inne ich rezerwy. Stanowi je przede wszystkim aktyw naukowy młodzieży polonistycznej, którego dotychczasowy dorobek został tak wysoko oceniony w referacie wicemin. Krassowskiej. Opinia zjazdowa stwierdziła zgodnie, że młodzież ta, wyrastająca już na samodzielnych i twórczych pracowników naukowych potrafi wnieść wartościowy wkład w obrady zjazdowe. Wystąpienia najmłodszych uczestników Zjazdu — studentów polonistyki dowiodły, że trwały dopływ nowych pracowników naukowych o ambicjach marksistowskich jest również na przyszłość zapewniony. Zorganizowanie aspirantury zapewni im korzystne warunki do pogłębienia przygotowania teoretycznego i wiedzy fachowej.

*

„Sprzęty domowe w powieściach Elizy Orzeszkowej" — autentyczny temat pewnej pracy magisterskiej, cytowany na Zjeździe, stanowi oczywiście przykład kuriozalny, ale zarazem symptomatyczny

(Dokończenie na str. 2)

TADEUSZ RÓŻEWICZ

ROZMOWA Z MATKĄ

I.

Idzie noc Stoisz sama
w czarnym oknie
Wiem
w tobie wciąż
ten umarły rośnie

Mówisz że już nie płaczesz
oczy wypłakałaś
Mówisz — opatrzność tak chciała
opuszczasz ramiona
Mówisz — jabłoń rozkwitła w ogrodzie
I odwracasz głowę

Tak nie trzeba

Opadłaś z sił i ciała
można cię wziąć na ręce
jak dziecko małe
i podnieść do serca

II.

Teraz jest wojna
Zimna mówią
I na całej ziemi matki drżą
Zimna zimna mówią
Są kraje

na których osiada krwi szron

Generałowie i szpiedzy
z umarłymi twarzami
przebijają mapy
Wbijają chorągiewki
w nasze wsie i miasta
pola lasy i ogrody
Przebijają na wskroś
kościoły i szpitale
Wyznaczają godzinę

Szaleńcy i przemysłowcy
karmią faszyzm
który skacze do gardła
prostym ludziom
i zagryza dzieci

Ale są żołnierze
którzy karabin przyciskają do serca
po to aby zabić wojnę

I jest człowiek

O nim pisze poeta:
„W trzech komnatach Kremlu Starego
mieszka człowiek, który się zwie
Józef Stalin
Do późnej nocy świeci się w jego oknie".

1950 r

O MALEŃSTWIE PIOSENKA

To maleńkie jest
jak pączek
co na martwą ziemię
spadł
— trzęsie listkiem młody wiatr —
i rozkwita
światłem rączek
w szary świat

Szedł bury żołnierz jak chmura
pochylił się
nad łupiną
kolebką
i uśmiecha się
i patrzy
na dziecko

— a w żołnierzu czarna jest krew
nastroszony jastrząb to brew
czarne lata i twarz czarna od prochu
jak kamienna płyta zamknięta
tu ukryta jest wojna i gniew
i szaleństwo i miłość
i śmierć

Stoi tutaj jak skała ogromny
i jak obłok miękki i siwy

nad kolebką płacze
szczęśliwy
Głowę chowa
chłopisko w rękawy
wstyd
wielki

Taki czarny groźny
i straszny
i bohater sławny

...

tak drży listek mały wierzbowy
tak się trzęsie żołnierz ogromny
radziecki
płowy
lew.

Pisane dnia 16 kwietnia 1945 roku, kiedy Armia Czerwona szła na Berlin.

JADWIGA SIEKIERSKA

O manowcach elitaryzmu i drogach kultury

Przed 1-szym maja u fryzjera dowiedziałam się o smutnym losie naszej sztuki. Pewna paniusia gdy jej ondulowano włosy użalała się: „Proszę pana, latam parę razy dziennie na akademie pierwszomajowe, wykańczam się jako artystka, bo robi się propagandę i zabija sztukę". Z dalszego szczebiotu wyjaśniło się, że „ofiarą" pierwszomajowych imprez padła aktorka zatrudniona przez „Artos".

Przypuszczam, że cyniczno - szczere wynurzenia u fryzjera owej aktoreczki szły w parze z patetyczno-nieszczerym tonem recytowanych przez nią wierszy rewolucyjnych.

Co prawda podobna mentalność wśród aktorów raczej odpływa w przeszłość niż utrwala się w teraźniejszości. Patos budownictwa socjalistycznego coraz bardziej porywa, zapala i zmienia psychikę również i ludzi świata artystycznego.

Ale głęboko sięgające korzenie pewnego rodzaju elitaryzmu lub pseudoelitaryzmu kulturalnego tkwią jeszcze mocno w środowisku artystów, literatów bezpartyjnych i partyjnych. Duch kastowości, snobizm elity oderwanej od masy, ton pobłażliwej wyrozumiałości dla twórczości i potrzeb kulturalnych „maluczkich" występuje w różnorodnych formach w sposób jawny i zamaskowany, świadomie i nieświadomie. Zwierzenia owej pani w karykaturze ujawniły tylko to, co może niedopowiedziane snuje się jeszcze po głowach niejednego z artystów.

Nie chcę być gołosłowna. Na pewnym zebraniu partyjnym padł niedawno głos literata, że pisarz nie ma nic do roboty w świetlicy — niech mu tym nie zawracają głowy — jego jedynym obowiązkiem jest twórczość literacka. Co prawda głos ten nie spotkał się z szerszym uznaniem. Byłoby nawet krzywdzące czynić z niego uogólnienia, tymbardziej na tle ostatniej szerokiej akcji literatów pracujących w terenie w fabrykach czy spółdzielniach produkcyjnych.

Pod tym względem zasługuje na uwagę ciekawy fragment z listu pewnej pisarki osiadłej na jednej z trudnych spółdzielni produkcyjnych województwa warszawskiego. Pisze ona: „Teraz co do pracy w świetlicy. Mam zamiar zostać tutaj co najmniej rok do półtora jeśli nie dłużej. Chcę prowadzić świetlicę i bibliotekę. Porozumiałam się z inspektoratem szkolnym w Gostyninie i 2-go maja rozpoczynam kurs dla analfabetów. Porozumiałam się z ZMP i założymy tu koło oraz drużynę harcerską...

Plan zajęć ułożyłam według pór dnia tak, aby świetlica służyła kolejno dzieciom, młodzieży i dorosłym wieczór. Wielki problem to kwestia przedszkola. Uważam je za bardzo potrzebne, gdyż matki jak na razie biorą b. słaby udział w robotach zespołu... Dopiero na prowincji i na wsi widzi się jasno wielkie przemiany w Polsce, osiągnięcia i braki. Pisarzowi każdy dzień tutaj przynosi nowe rewelacje".

Uwagi i plany zastanawiające dla pisarza.

Tydzień Oświaty, Książki i Prasy, akcja walki o pokój, uaktywniły, rozruszały literatów. Spotkania autorów z czytelnikami nabrały rozmachu, stały się bardziej urozmaicone — autor coraz częściej występuje jako agitator pokoju, propagandzista oświatowy, działacz kulturalny.

Nie zawsze dopisywała organizacja spotkań — autor liczył na dorosłych robotników a na sali była młodzież i dzieci, dowiadywał się, że zapowiedziano jego występ naraz w dwóch miejscach, bądź też pędził z Warszawy do Szczecina i... wpadał do pustej sali.

Choć wskutek bałaganu organizacyjnego nie obyło się bez psucia krwi i marnotrawstwa czasu, to jednak po krótkich wysłuchanych sprawozdaniach pisarzy nasuwała się myśl, że pisarz w roli agitatora to dobra szkoła poznawania życia, skuteczny sposób zbliżania się do ludzi.

Jeszcze jeden krok został zrobiony do zniesienia barier elitaryzmu.

*

Słyszy się nieraz pogląd, że upowszechnienie kultury postępuje u nas szybko naprzód, natomiast twórczość artystyczna, zwłaszcza literacka przeżywa kryzys.

Mimo pozorów prawdopodobieństwa uwagi te nie wydają się słuszne. Niewątpliwie rośnie z dnia na dzień ilość świetlic robotniczych i wiejskich, zespołów amatorskich, bibliotek gminnych, kursów i szkół kształcących działaczy kulturalnych. Ale niewątpliwie nie nadążamy w kierowaniu, ideowym pogłębianiu i organizacyjnym opanowaniu żywiołowo rozwijającego się ruchu kulturalnego; są niepokojące objawy sztampy, biurokratycznych wypaczeń, górowany i opóźniony, dlatego, że twórcy rzadko wysuwają się poza własne podwórko (właśnie stąd płynie zubożenie twórczości Adolfa Rudnickiego tak widoczne w „Pałeczce"), że ich powiązania i kontakty z życiem kraju, z masowym ruchem kulturalnym, są ciągle za słabe, anemiczne i niewystarczające.

Na przeszkodzie stoi często nieporadność i bierność artystów, literatów jak i biurokratyczne wynaturzenie lub brak inicjatywy organizacyjnej i sprężystości ze strony tych ośrodków, organizacji społecznych, które muszą być zainteresowane w ustaleniu trwałych kontaktów. Krótko mówiąc, zarówno sprawa umasowienia kultury, przyśpieszenia tempa walki z posępnym dziedzictwem zacofania i ciemnoty, jak i sprawa ożywienia zapłodnienia twórczości artystycznej nową treścią naszego życia — to są dwa stale przenikające się ze sobą nurty jednego wielkiego potoku rewolucji kulturalnej.

*

Wystarczy wyjechać za rogatki Warszawy lub innego większego miasta w Polsce, żeby na każdym kroku natrafić na potrzeby kulturalne domagające się szybkiego zaspokojenia, na fakty, domagające się natychmiastowego wyprostowania, na dobre poczynania zatrzymane w połowie drogi, na ogromną, palącą potrzebę szkolenia i jeszcze raz

Świetlica w młodzieżowej spółdzielni produkcyjnej Wietlin k. Rzeszowa

wania bezdusznego frazesu nad żywą socjalistyczną treścią. Płynie to między innymi i stąd, że Olimp sztuki i nauki nadal jest jeszcze sztucznie odosobniony od życia mas.

Pewne zniekształcenia czy zahamowania masowego ruchu kulturalnego są wynikiem uporczywego, tradycyjnego, klasowo dziś obcego elitaryzmu, pokutującego jeszcze w świecie nauki i sztuki. Z drugiej strony — pewnego zahamowania twórczości literackiej nie można sprowadzać np. do braków w pracy organizacyjnej Związku Literatów — problem ten ma głębsze korzenie. Trudny proces przekształceń ideologicznych wśród artystów, literatów jest zahamowany i opóźniony, dlatego, że twórcy rzadko wysuwają się poza własne podwórko (właśnie stąd płynie zubożenie twórczości Adolfa Rudnickiego tak widoczne w „Pałeczce"), że ich powiązania i kontakty z życiem kraju, z masowym ruchem kulturalnym, są ciągle za słabe, anemiczne i niewystarczające.

Na przeszkodzie stoi często nieporadność i bierność artystów, literatów jak i biurokratyczne wynaturzenie lub brak inicjatywy organizacyjnej i sprężystości ze strony tych ośrodków, organizacji społecznych, które muszą być zainteresowane w ustaleniu trwałych kontaktów. Krótko mówiąc, zarówno sprawa umasowienia kultury, przyśpieszenia tempa walki z posępnym dziedzictwem zacofania i ciemnoty, jak i sprawa ożywienia zapłodnienia twórczości artystycznej nową treścią naszego życia — to są dwa stale przenikające się ze sobą nurty jednego wielkiego potoku rewolucji kulturalnej.

*

Wystarczy wyjechać za rogatki Warszawy lub innego większego miasta w Polsce, żeby na każdym kroku natrafić na potrzeby kulturalne domagające się szybkiego zaspokojenia, na fakty, domagające się natychmiastowego wyprostowania, na dobre poczynania zatrzymane w połowie drogi, na ogromną, palącą potrzebę szkolenia i jeszcze raz szkolenia kadr kulturalno-oświatowych, zwłaszcza dla wsi.

Zwiedziłam ostatnio świetlice gromadzkie w spółdzielniach produkcyjnych, w PGR-ach, POM-ach w województwie poznańskim, lubelskim i warszawskim. W powiecie gostynińskim byłam w: Kamieńcu, Modelu, Pacynce, Lwówku, Belnie, Nowej Wsi, Woli Trębskiej. Większość zwiedzonych świetlic — to dopiero zalążek przyszłych świetlic. Dziś w wielu wypadkach są to zaniedbane izby mało zachęcające swym wyglądem i nieprzystosowane do czytania, odpoczynku czy zabawy. To nie znaczy, że świetlice te są martwe lub nie przyciągają ludności wiejskiej. Odwrotnie. Coraz częściej na wsi nie tylko młodzież ale i dorośli, kobiety, starsi gospodarze zaczynają brać udział w życiu świetlicy. Tym wzrastającym potrzebom nie dopisuje organizacja ruchu świetlicowego. Nie czuć mocnej i pieczołowitej gospodarczej ręki nad świetlicami w organizacjach społecznych (Zw. Zaw., Zw. Sam. Chłop.), często przeważa papierkowy nadzór różnych czynników nad świetlicami, gonitwa za ilością zakładanych świetlic a nie za jakością ich prac. Niewystarczające jest tempo szkolenia kadr świetlicowych, brak wreszcie prawdziwego zainteresowania ruchem świelicowym naszych twórczych związków artystycznych, naukowych, technicznych.

Świetlica — poważne ogniwo na drodze rozwoju kulturalnego i wychowania socjalistycznego człowieka pracy w Polsce jest prawie całkowicie odcięta od ośrodków myśli naukowej, od popularyzacji zdobyczy technicznych, twórczości artystycznej, od tych ludzi, którzy dziś kształtują polską naukę, technikę i sztukę.

Powołanie do życia Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, które zgromadzi najlepszych prelegentów, popularyzatorów wiedzy i sztuki, obsługujących teren, domy kultury, świetlice robotnicze i wiejskie powinno wypełnić tę rażącą, niedopuszczalną lukę w naszym społeczeństwie budującym socjalizm.

Niezależnie od tej akcji i Związek Literatów i Związek Plastyków mógłby ustalić w sposób planowy (w porozumieniu z CRZZ i ZSCh) formy współpracy z domami kultury, świetlicami i mieście i na wsi. Żywe słowo literata w świetlicy, pomoc plastyka w estetycznym urządzeniu wnętrza świetlicy — to właśnie realna droga upowszechnienia kultury i skierowania twórczości artystycznej i literackiej na nowe tory. Uczestnictwo związków artystycznych, towarzystw naukowych, uczącej się młodzieży w rozbudowaniu życia świetlicy w sposób twórczy wpłynie na obie strony.

Tymczasem tylko nauczyciele zwłaszcza na wsi z dużym poświęceniem, ale często w osamotnieniu opiekują się świetlicami.

Ze świeżych obserwacji życia świetlic wiejskich jako najpilniejsza rzecz wyłania się konieczność uruchomienia bibliotek i zorganizowania czytelnictwa. Z pobytu w blisko 20 świetlicach na terenie trzech województw można stwierdzić, że w każdej prawie świetlicy były książki w rozmaitej ilości od 20 — 50 tomów do przeszło tysiąca. Ale gorszącym jest fakt, że w większości tych świetlic książki są nieczytane z różnych przyczyn, a głównie z braku bibliotekarza. Brak daje się tymbardziej odczuwać, że niemal w każdej gminie nieduże księgozbiory rozproszone są w kilku miejscach, dla których niepodobna (a nawet byłoby to niewłaściwe) dostarczyć fachowej siły bibliotekarskiej. Stąd pewna komasacja bibliotek na wsi w pełni dojrzała i właśnie dziś jest na warsztacie prac Komisji Głównej do Spraw Kultury.

Świetlicowe zespoły amatorskie na wsi są jak kiplingowski kot, który chadzał własnymi drogami — niemal całkowicie puszczone samopas. Teatry, związki artystyczne, młodzież wyższych szkół artystycznych mogą i powinny dużo zdziałać w organizowaniu pomocy ideowo - artystycznej dla żywiołowo wzrastającego amatorskiego ruchu na wsi.

*

Gdy się porówna dzisiejszą młodzież w Uniwersytetach Ludowych z młodzieżą wiejską w U. L. sprzed dwóch lat staje się widoczna — w sposób uderzająco jaskrawy — droga przebytych wielkich przemian na wsi.

Dwa lata temu zapoznałam się z pracą dziesięciu U. L. na terenie całego kraju. Obecnie zwiedziłam trzy U. L. w województwie poznańskim i lubelskim. Mimo, że skala porównawcza jest zwężona, zdobyte obserwacje rzucają światło na procesy zachodzące na wsi, nasuwają sporo poważnych wniosków:

Dwa lata temu U. L. pracowały bez określonych programów, widma agraryzmu nieraz błąkały się wśród starych murów dawnych szlacheckich dworków — obecnych siedzib U. L. Mistyczno-sentymentalny, tchnący myszką, bigos ideowy cechował naukę i metody wychowawcze U. L. Egzaltacja, pięknoduchostwo, gonitwa za natchnieniem jako źródłem „uszlachetniania jaźni" wychowanków, budzenia ich honorności chłopskiej należało do zjawisk nagminnych w U. L. Występował tam dość dziwaczny konglomerat różnorodnych metod wychowawczych. Mieszanka uwspółcześnionego rusoizmu z mieszczańskim sentymentalizmem Grundtwiga (założyciela U. L. w Danii), zmodyfikowanym w polskim wydaniu przez Solarza, uzupełnionym przez polską interpretację agraryzmu.

A przez dymną zasłonę frazesów o doskonaleniu osobowości wychowanków, przezierało kułackie oblicze ideologów PSL mikołajczykowskiego chowu. Oni to właśnie w pierwszych latach po wyzwoleniu mieli decydujący wpływ na rozwój UL w Polsce. Dużo jednak wody upłynęło od tego czasu. Warto dla porównania przypomnieć pewne fakty sprzed dwóch lat, które dziś już należą do minionych dziejów.

Dwa lata temu w świetlicy w UL w Pawłowicach jako naczelne hasło widniały słowa zaczerpnięte z personalistycznej pedagogiki: „Siebie trzeba odmienić, chcąc świat odmienić." W tych samych Pawłowicach mówiono wówczas dużo pięknych i górnolotnych słów o roli zespołowej pracy i współżycia,

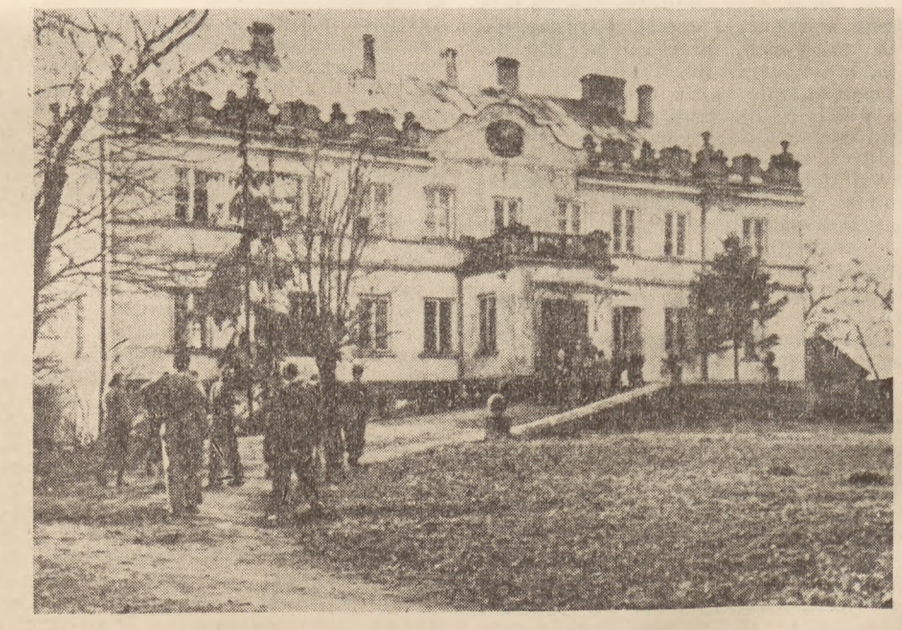

Uniwersytet Ludowy w Głuchowie

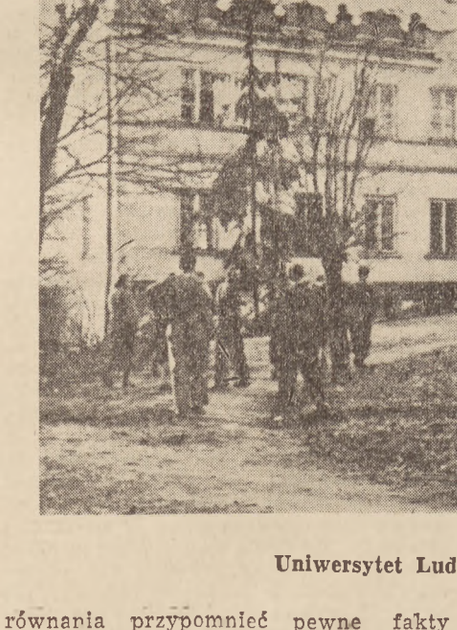

Halina Rawska, gospodyni klasy i Władysława Misiałkówna

Lekcja geografii gospodarczej

o wielkiej misji oświaty na wsi, o dobroci, a jednocześnie na zapytanie czy powstają małżeństwa po wspólnym pobycie na kursie w U. L. padła odpowiedź, że tego nie bywa, bo przecież słuchaczki UL to panny bez posagu.

We wszystkich zwiedzanych przed dwoma laty UL aż się roiło od wykładów, pogadanek, prac piśmiennych na tematy takie jak np. „Między uczuciami a rozumem", „Mąż — głowa rodziny", „Cierpienia i miłość w literaturze", „O dobroci" itd.

A dziś gdy przeglądamy zeszyty słuchaczy UL (gospodarzem UL jest ZSCh, wszystkie UL pracują wg. programów) czytamy streszczenia zgoła innych tematów: o spółdzielniach produkcyjnych, o budownictwie socjalizmu w ZSRR, o podżegaczach wojennych i o konieczności walki o pokój, czytamy analizę „Pana Tadeusza" czy „Lalki", są rzeczowe notatki o sztuce epoki „Odrodzenia" itd.

Z długiej rozmowy ze słuchaczami UL w Łęknie (woj. poznańskie) dowiadujemy się, że regularnie czytają „Nową Kulturę", że na podstawie artykułu w „Nowej Kulturze" zrobili prasówkę o pięcioleciu układu z ZSRR i dyskutują gorąco sprawę dymisji Joliot-Curie, że zaczytują się w „Szosie Wołokołamskiej" Beka, czy „Prawdziwym człowieku" Polewoja, biorą aktywny udział w „Tygodniu Oświaty, Książki i Prasy", występują po wioskach z referatami, urządzali wieczornice mickiewiczowskie w okolicznych wsiach.

Ale czy wszystko jest już dobrze w UL, czy wszystko uległo gruntownej zmianie i czy właściwy jest obecny kierunek nauczania? Taki wniosek byłby zbyt pochopny. Młodzież niewątpliwie dobra — doskonały chłonny materiał ludzki. Ale zajrzyjmy znów do zeszytów słuchaczy. Najwięcej zastrzeżeń, niepokoju budzą notatki z ekonomii politycznej, historii, literatury. Zatrzymajmy się na literaturze. W UL w Golinie Wielkiej (woj. poznańskie) we wszystkich niemal zeszytach o pozytywiźmie zapisane są podobne stereotypowe sformułowania, zaczerpnięte z arsenału burżuazyjnego literaturoznawstwa. Oto jedno z nich: „Wszystkie dziedziny życia trzeba było przeorywać by społeczeństwo zrozumiało, że nie tylko szablą i bohaterstwem na polu bitwy zdobywa się wolność ale nie mniejszą a może większą rolę odgrywa praca nad podniesieniem oświaty, techniki, uprawy roli, handlu, przemysłu i w ogóle prac produkcyjnych." I tak w kółko, bez słowa klasowej analizy.

W podobny sposób z nieco większą naiwnością i nieporadnością słuchacze z UL w Gościeradowie (woj. lubelskie) notują różnicę między romantyzmem a pozytywizmem. „Romantyzm zachwycał się pięknością jakiejś rzeczy a nie dociekał do podstaw jej życia. Natomiast pozytywizm opierał się na rzeczywistości, brał życie od podstaw." Nie brak anegdotycznych notatek, świadczących o niesamowitym pomieszaniu pojęć i postaci. W tym samym U. L. w Gościeradowie czytamy w jednym z zeszytów:

„W prądzie „Młoda Polska" przywódcami ruchu socjalistycznego byli Waryński, Wróblewski, Dmowski i Limanowski. Przeciwstawiali się neoromantyzmowi i zwalczali kapitalizm i imperializm".

(Dokończenie na str. 7)

PO ZJEŹDZIE POLONISTÓW

(Dokończenie ze str. 1)

dla skarlenia i jałowienia problematyki tradycyjnego literaturoznawstwa. Przykład kuriozalny podeprzyjmy argumentem ważkim: od lat przeszło czterdziestu polonistyka nie zdobyła się na nową syntezę historii literatury „z prawdziwego zdarzenia" (pomijam tu próbę swoistej syntezy J. Krzyżanowskiego.)

Takiej praktyce naukowej przeciwstawiła polonistyka marksistowska, zgrupowana w Instytucie Badań Literackich swój program wielkiej odnowy historii literatury. Program to świadomie shierarchizowany, zgodnie z centralnym zadaniem naszej humanistyki: współudziałem w kształtowaniu socjalistycznej świadomości narodu. Trzeba więc na nowo odczytać zafałszowaną i zniekształconą nieraz twórczość naszych największych pisarzy, wydobyć z zapomnienia nurt postępowy, rewolucyjny w przeszłości literackiej; dokonać zasadniczej rewizji dotychczasowych ocen, opartych na wstecznych i fałszywych kryteriach; w sposób naukowy, oparty na materializmie historycznym zinterpretować dynamikę rozwoju literatury; zrywając ze złymi tradycjami sztucznego podziału między historię a krytykę literatury, trzeba wziąć na warsztat badawczy twórczość współczesną i w niej rozwój realizmu socjalistycznego. (Że wspomniany podział jest jeszcze żywotny — dowodem brak w tematyce zjazdowej referatu o stanie współczesnej krytyki literackiej. Dotkliwą tę lukę, częściowo tylko usuniętą przez głosy dyskusyjne, wypełni dopiero tegoroczny Zjazd Literatów Polskich. Nie powinno na nim zabraknąć historyków literatury! Luką również był brak referatu o literaturze i krytyce radzieckiej). Trzeba wreszcie — i jest to jedno z najpoważniejszych zadań — przepracować zagadnienia estetyki marksistowskiej i przystąpić do unaukowienia t. zw. teorii literatury. Przebieg Zjazdu świadczy bowiem że teoretycy-marksiści nie zawsze potrafili przeciwstawiać skrytykowanym koncepcjom ideologicznym, własne rozwiązanie konstruktywne (np. w dziedzinie teorii gatunków literackich).

Wymienione tu centralne zadania naukowe otacza cały ogrom innych potrzeb: odrobienie zaległości dwudziestolecia w zakresie bibliografii i dokumentacji prace edytorskie i komentatorskie (na różnych poziomach), studia biograficzne, badania nad językiem artystycznym i wersyfikacją itd. Odrębnym zadaniem jest udostępnienie osiągniętych rezultatów naukowych tak szkole jak najszerszym kręgom odbiorców.

Ta rozległość i różnorodność zadań pozwala każdemu rzetelnemu badaczowi znaleźć miejsce dla swego warsztatu naukowego w pracy nad wielką odnową i unaukowieniem historii literatury.

Z drugiej strony rozległość i różnorodność zadań potrzebuje wprowadzenia planowania w całość badań literackich w Polsce. W tej sprawie opinia zjazdowa była powszechna — nie znaleźli się obrońcy chałupnictwa naukowego. Ogólnopolski plan naukowy dla historii literatury pozwoli skoordynować indywidualne wysiłki i uniknąć ich dublowania, pozwoli celowo rozstawić kadry naukowe i produktywnie je wykorzystać, a co najważniejsze — zapewni szybką, kolektywną realizację wielkich zamierzeń syntetycznych i bibliograficznych. Skojarzenie planowania odgórnego i oddolnego (wychodzącego od uczelnianych instytutów badawczych i zespołów katedr) umożliwi oczywiście pełne uwzględnienie indywidualnych ambicji i zainteresowań pracownków naukowych.

*

Uczestnikowi Zjazdu trudno z tak bliskiej perspektywy zdobyć się na ogólną ocenę. Niewątpliwie Zjazd był dla lewicy polonistycznej trudną, lecz zwycięską próbą sił, która podniosła świadomość naukową marksistów na wyższy szczebel. Nawet najbardziej uprzedzonym unaocznił on owocność i przodownictwo naukowe marksistowskiego literaturoznawstwa. Czy był to Zjazd przełomowy? Nie można na to pytanie odpowiedzieć jednym zdaniem. Nie zjazdy przecież, lecz dynamika walki prowadzonej przez awangardę narodu — klasę robotniczą — decyduje o dynamice przełomów naukowych. Nie na zjazdach przecież, lecz w pracowniach naukowych te przełomy się odbywają. To pewne jednak, że Zjazd nasz przyśpieszył przełom w polonistyce, gruntownie oczyścił dla niego pole i wskazał ku niemu najtrafniejsze drogi.

Henryk Markiewicz

TADEUSZ DREWNOWSKI

„ROBOTA NA DŁUGI DECH..."

Witold Zalewski

„Traktory zdobędą wiosnę" *) — to piękna, wartościowa i nowatorska książka o polskiej wsi w pierwszym stadium przebudowy socjalistycznej. „Wreszcie przyszedł czterdziesty ósmy rok i w sprawie wiejskiej powiał ożywczy wiatr" — pisze Witold Zalewski. Zapoczątkowane wielkie przemiany na wsi dostarczają naszej literaturze nowej i wspaniałej problematyki.

Na początku zajmiemy się zagadnieniem, czy dzieje wsi w ostatnim okresie prawidłowo odbijają się w opowiadaniach Zalewskiego?

W rozpoczętej przed półtora rokiem wielkiej kampanii o spółdzielczość produkcyjną partia — czołowa i kierownicza siła tego rewolucyjnego przedsięwzięcia kieruje się leninowskimi wskazaniami: „oprzyj się na biedocie, zawieraj trwały sojusz ze średniakiem, ani na chwilę nie przerywaj walki z kułakiem" (Stalin. Zagadnienia leninizmu).

Główna uwaga autora omawianych opowiadań skupia się na urzeczywistnianiu dwu pierwszych haseł: mobilizacji i uświadamianiu biedoty wiejskiej, mozolnym zawieraniu porozumienia ze średniakiem. Te obydwa procesy obserwujemy w całej ich złożoności pokazane z wielkim talentem pisarskim i wyrobieniem politycznym. Zwrot średniaka, w swej wielkiej masie — żywiołu chwiejnego, następuje wtedy, kiedy nasze siły osiągają zdecydowaną przewagę nad kułactwem, kiedy nasza praca uświadamiająca zwycięża kłamliwą agitację ze strony wroga.

Gdy po wsi poszła plotka, że „Iskrowa też przejrzała jak i Wodniak i już nie rozpowiada tych bajdów o kołchozach (ukraińskich)" wtedy na ogólnym zebraniu całej wsi Maria Iskra złożyła następujące wyjaśnienia: „Kochani ludzie, a to ja wam to wszystko potwierdzam i powtarzam, że wam powiadałak samą rzetelną prawdę i przysięgam wam to na pamięć tych, coście ich znali, że nie kłamali nigdy... — w oczach kobiety zaświeciły dwie duży łzy, wzruszenie zdusiło oddech.

Niedźwiedź poczuł też, że mu coś przeszkadza w gardle. Było cicho. Nagle ktoś uderzył mocno w dłonie i natychmiast ożywczy deszcz oklasków przeleciał salę. Ten sam piskliwy głos babski krzyknął: wierzymy ci Maryśka."

Po opisie zebrania autor komunikuje wyniki: „Na tym zebraniu wstąpiło pięciu ludzi do komitetu. Trzech średniaków. Wtedy się przełamało."

Wroga klasowego widzimy jasno; jest nim bogacz wiejski, wyzyskiwacz, spekulant, często — reakcyjny proboszcz. Ale Zalewski na ogół właściwie przedstawiając początkowe stadium walk o socjalistyczną przebudowę wsi popełnia jednak pewien błąd, który osłabia rewolucyjną tendencję książki. Niewystarczająco wszechstronnie ukazuje — wraz z walką biedoty o spółdzielczość — stałe ograniczanie i wypieranie jeszcze nie kułactwa jako całości, ale jego poszczególnych oddziałów. Wprawdzie obiektywne czynniki klasowe — nowy skład społeczny młodzieży — wyznaczają konieczny kierunek przemian uniwersytetów ludowych obciążonych idealistycznymi tradycjami gackich rezerwatów duchowych i decydują o tym, że „chrześniacy idą z nami"; wprawdzie zorganizowany przez fabryczną ekipę podbój ideowy Jedlanki musi — po ciężkich zmaganiach — zgodnie ze strukturą ekonomiczno - społeczną wsi doprowadzić do sukcesu, ale w opowiadaniach Zalewskiego nie widzimy w pełni rezultatów odnoszonych zwycięstw. Nie mamy przed oczami opłotków całej wsi: kułackich zagród, zagonów średniackich i powstających spółdzielni. O kierunku przemian w każdym wypadku przesądza w ostatniej instancji prawo postępu historycznego, ale zamazują się tutaj dialektyczne związki między zależnymi od siebie procesami: nasze zwycięstwa nie są równocześnie — na terenie książki — ciosami w bogaczy. Powstaje wrażenie, że kułak nie tylko jest podstępny, hardy, nieustępliwy, ale również — nietykalny.

I jeszcze jedno. Walkę z kułakiem prowadzi nie tylko — choć w pierwszym rzędzie — biedota wiejska przy pomocy robotników, ale również władza ludowa. przez ustawy, przez podatki... Tej interwencji nie odczuwają opisane wioski. Poza komitetem powiatowym partii, który działa sprawnie i czuwa na każdym kroku, żadnych przedstawicieli aparatu państwowego nie spotykamy. Każdy krok w ograniczaniu eksploatatorstwa na wsi, każda wygrana w walce ze spekulacją, wyzyskiem, obcą agitacją jest przecież zarazem dalszą porażką kapitalistycznych żywiołów. Rozpoczęta kampania spółdzielcza na wsi w ostatecznym rezultacie prowadzi do zupełnego zniesienia kapitalistycznego wyzysku. Ta perspektywa rozwojowa wsi nie występuje dość jasno naskutek zwężonego nieco kąta widzenia konfliktów wiejskich tylko od strony przodującej części chłopstwa, a ukrycia w cieniu cofających się i rozgramianych bogaczy wiejskich, jak też pozostawienia powiatu samemu sobie.

Z drugiej strony — obok tych błędnych bez wątpienia niedomówień — zbiór opowiadań Zalewskiego przekonywująco i pięknie dowodzi, że przyszłość wsi należy do spółdzielni produkcyjnych. Członkowie spółdzielni, ci nawet którzy z wahaniami do niej przystępowali, sami już mogą ocenić przewagę gospodarki kolektywnej w porównaniu z gospodarstwami indywidualnymi. Przed spółdzielniami otwierają się wielkie widoki rozwoju:

„Jadą teraz groblą między ogromnymi, suchymi stawami porośniętymi przy brzegach wysoką trzciną. Migdał pochyla się w siedzeniu.

— Te stawy też będą nasze — mówi — to jest piękne gospodarstwo rybne, osiemdziesiąt hektarów stawów. Na razie to PGR-y użytkują, ale to żadna gospodarka, stąd mają do zespołu kilkanaście kilometrów...

Wąska grobla biegnie między równymi prostokątami stawów pokrytych na dnie czarnym szlamem...

— Stawowi też przejdą do nas... — Migdał zaciera dłonie — spółdzielnia musi mieć oparcie w czymś takim. My się nastawimy na ryby i na hodowlę bydła..."

Częste opisy przyrody nie są u Zalewskiego zbędnymi dekoracjami. Ich piękno polega na spojrzeniu na przyrodę oczami człowieka pracującego, ukazaniu pełnego uroku żywiołu, który człowiek swym rozumem i wysiłkiem coraz bardziej poznaje, ujarzmia i wykorzystuje. Jakże daleki jest ten obraz dynamicznego rozwoju dzisiejszej wsi od tradycyjnego poetyzowania o zbożnej wegetacji wsi włączonej w odwieczny rytm przemian natury. Wielka rewolucja na wsi postawiła pierwsze decydujące kroki.

„Ziemia taka marna, przeludnienie, a jak ciężko idzie ze spółdzielniami...

— Nie może iść letko. To jest robota na długi dech..."

*

Zalewski przedstawia pierwsze mocne zalążki nowego bytu wsi. „Spółdzielczość produkcyjna dopiero kiełkuje, ale jako problem utkwiła w ludzkiej świadomości, przerabia ją". Że problem spółdzielczości produkcyjnej utkwił w świadomości chłopskiej Zalewski nie tylko stwierdza, ale również pokazuje. Cała okolica obserwuje z rozbieżnymi uczuciami pierwszą spółdzielnię w Dankowicach. Dlatego planowe wykonanie orki jesiennej jest nie tylko gospodarską koniecznością, ale także — co autor umiejętnie ukazuje — ważnym zadaniem politycznym. Zalążkowe formy nowego bytu przynoszą ferment tam nawet, gdzie spółdzielczość jeszcze nie dociera.

Kształtowanie się nowej świadomości chłopskiej obserwujemy w rozmaitych stadiach: chwiejność Wodniaka — małorolnego chłopa, zastraszonego księżymi pogróżkami; mocowanie się z zakorzenionym przywiązaniem do indywidualnej własności u komunisty — Adamaszka, jednego z założycieli spółdzielni, który w czasie orki „żałował trochę swojego bydlęcia" i oszczędzał mu bata; rodząca się troska o spółdzielczy dobytek, o wspólne u Niedźwiedzia, Sobika i Celiny ze spółdzielni dankowickiej, którzy z biciem serca przyjmują na świat „pierwszego byczka na spółdzielczym". W żadnej scenie człowiek nie jest ani trochę klasowym schematem, a w każdej sytuacji żywi ludzie są do szpiku kości klasowymi jednostkami.

„(Rychta) ma pięć hektarów — opowiada Migdał — i wciąż jest, rozumiecie, jedną nogą tutaj, a drugą został na swojej działce; wciąż się gnębi, że źle zrobił, że będzie stratny na spółdzielni... Z wiosną jak wstępował do spółdzielni, to cięgiem chodził podrapany na gębie. A i teraz to jeszcze się u nich piekło wyprawia. Chłop ma ciężkie życie... W ogóle — ile to małżeństw przestało ze sobą spać z powodu spółdzielni... Ksiądz zabronił babom..."

Życie w zmienionych warunkach nabiera dla biedoty wiejskiej nowej treści i nowych barw. Autor na każdym kroku akcentuje ludzką godność pracy na wspólnym gospodarstwie.

„...Jan Rutkiewicz (od trzydziestu lat stangret barona Frankensteina — ostatniego właściciela majątku Księży Dwór) został na wiosnę wybrany członkiem komitetu zespołowego.

— Oo — pokazuje majaczące we mgle postacie dziewcząt — buraki kopcują. Tu buraków zebrali latoś trzysta metrów z hektara...

Kolega Michalski ma ochotę zapalić. Trąca stangreta w ramię i podsuwa mu papierośnicę. Ale Rutkiewicz odmawia — na koźle nie pali; trzyma sztywno lejce i jest zajęty powożeniem."

Poza kilku wzruszającymi akcentami przywiązania i zamiłowania do zawodu może jeszcze niedostatecznie w całej książce Zalewskiego uwydatnia się piękno pracy w nowym ustroju. Pod tym względem autor zmarnował szereg okazji.

Ale kiedy obracając kartki książki przyglądamy się aktywowi naszej kampanii spółdzielczej nie raz jesteśmy olśnieni: jacy mocni i mądrzy ludzie! co za prawdziwi bohaterowie! Wypróbowani towarzysze związani do ostatka z partią (jak Stanisław Marzec z fabryki starachowickiej), bezkompromisowi komuniści — Maria Iskra i Niedźwiedź ze spółdzielni produkcyjnej w Dankowicach i odpowiedzialni, oddani gospodarze — jak bezpartyjny Sobik stają obok Stanisława Mazura — „mistrza" buraczanych urodzajów, Aleksandra Obrzanka — szwajcara w Korytach, Henryka Garbacza — racjonalizatora rolnictwa, których piękne życiorysy znamy z biblioteki przodowników pracy.

W wielkim skrócie Zalewski zarysowuje szkice z życia świadomych bojowników naszej rewolucji. Oto fragment wspaniałego życiorysu chłopa z Lipna:

„Kiedy w 1935 roku w żniwa Marzec pracował w majątku H. pod Pruszkowem, zetknął się z kilku robotnikami z pruszkowskiej elektrowni. W następnym roku był już członkiem Komunistycznej Partii Polski. Pracą jego stała się teraz walka. Od czterdziestego pierwszego roku żył w lesie. Kiedy przyszedł na święta do domu, wzięła go żandarmeria. Pojechał do Oświęcimia... Powrócił do Lipna w czterdziestym piątym roku i od razu stanął do roboty w partii. Najpierw został sekretarzem komitetu gminnego P.P.R. — był to czas kiedy na zebrania chodziło się z bronią. Strzelali do niego, był ranny. Postawił gminę na nogi, dopomógł biedakom odbudowywać się, organizował gromadzkie komitety partyjne, zakładał Samopomoc Chłopską. Potem wysłano go do szkoły partyjnej, a potem do Starachowic."

Pisarz potrafi porywająco i wiernie ukazać mocne sylwetki bohaterów naszej kampanii o spółdzielczość produkcyjną. Ci, co od dawna są głównymi bohaterami naszego życia, stają się w książce Zalewskiego pełnoprawnymi, pozytywnymi bohaterami naszej literatury.

*

Niewielkie opowiadania Zalewskiego otwierają szerokie widnokręgi literackie. Może często mimo woli są one w wielu momentach dyskusją literacką z wielkimi pisarzami przeszłej epoki — Sienkiewiczem, Reymontem, Wyspiańskim. Zdolnego Janka Obrzuta z Uniwersytetu Ludowego pod Łodzią — stypendysty M. K. i S. nie czeka znany los Janka — muzykanta. O ile prozaiczniej, bez mistycznych obsłonek, przedstawia się kułackie wesele, na którym bogacze przekupują biednych chłopów wódką:

„Wynurzył się drużba ciągnąc za rękę zgrzaną dziewczynę. Pchnął ją w objęcia warszawiaka:

Tańcować, panie... jedno kółko

Bęben i talerz wybijał rytm, ludzie szurali po podłodze w modnym miejskim swingu."

W gwarnej karczmie w kulminacyjnym momencie kułackiego wesela zamiast słomianego chochoła — skrzypka, który podda takt parom tanecznym, zjawia się przedstawiciel komitetu powiatowego P.Z.P.R. w sprawie miejscowej spółdzielni.

Jakkolwiek zasugerowana przez książkę polemika dobrze świadczy o jej randze literackiej, co innego oczywiście przede wszystkim stanowi artystyczną wartość książki Witolda Zalewskiego. Nie tylko w niej nie zanika wielkość i patos rzeczywistości, ale przeciwnie — proza Zalewskiego — na pewnym wybranym odcinku — wydobywa je i literacko potęguje. Każdy omalże rozwinięty obraz literacki (traktor na wzgórzu — symbol kolektywnej gospodarki, wiejski dzieciniec w popańskim pałacu) ma ogromną realistyczną wymowę, kryje w sobie duży rewolucyjny ładunek.

Już w obrębie dwustustronicowego tomiku (nie mówiąc o poprzedniej twórczości Zalewskiego) można zauważyć pewien rozwój pisarski autora. W miarę gruntowniejszego poznawania wsi i gromadzenia dalszych doświadczeń — mimo pewnych wskazanych usterek poszerza się i pogłębia obraz rzeczywistości, kształtuje się pełniejsza wizja artystyczna: od statycznych obrazków z życia wsi („Prądownica Kołodziejskiego", „Traktor na wzgórzu") do skondensowanego szkicu powieści o początkach spółdzielczości i bitwie o pierwszą orkę jesienną (prawie każdy rozdziałek „W listopadzie, miesiącu jesiennym" jest skrótem osobnego wątku powieściowego), od reportażu, posługującego się różnorodnym, często surowym materiałem (ankietowym, statystycznym) do oryginalnej i pięknej prozy literackiej. Zwłaszcza w ostatnich dwóch opowiadaniach autor nabiera szerszego oddechu, ale stale jeszcze brak mu epickiego rozmachu powieściopisarza.

(Dokończenie na stronie 4)

*) Witold Zalewski, Traktory zdobędą wiosnę. „Czytelnik" Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa, 1950.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Przełożył ARTUR SANDAUER

MARKSIZM — TO METODA OBRONY I ATAKU POSŁUGUJ SIĘ ROZSĄDNIE METODĄ TAKĄ

Bagnetami
utwierdza
robocza brać
nowego stulecia
zręby.
A niektórzy
chcą bagnet
do rąk
poto brać,
by nim
sobie czyścić
zęby.
Wszystko w porządku:
śpiewa poeta,
krytyk
zajmuje się krytyką.
Koryto swoje
ma wierszokleta,
krytyk —
swoje korytko.
Lecz są
i tacy,
co chętnie zbieraliby,
choć sami
ni orzą,
ni sieją
A rozdzielają
nagany i chwalby
z wysokości
literackich essayów.
I by odziać
w nimb
naukowej krytyki
ową
brednię zaplwaną, —
zawsze
na stole
kurzem pokryty
i
nierozcięty
Plechanow.
Wykuje zdanie
i bębni zażarcie
niby
z ambony jegomość.
Byt —
a to znaczy się —
picie i żarcie
u niego
określa świadomość.
Gdy wpadnie mu
Lermontow
w encyklopedii
lub Puszkin
krytyk-koneser
wyjaśnia źródłowo,
co oni jedli
na obiad,
a co na deser.
„Szampana lubili łyknąć,
przypuśćmy.
Znać w tym
szlachecki zbytek.
A ich
rozkochanie
w kiszonej kapuście
to
zwykły
mieszczański przeżytek.
W Lermontowie choćby —
daleko nie idąc —
sensu jest mniej,
niż grusz na akacji.
Całe
chóry
niebiańskich świecideł
i ni słowa
o elektryfikacji
Lecz jeśli
odrzucić
frazesów straki,
miąższ
dobyć
z łupin liryzmu,
przyznaję,
że Lermontow
jest bliski i drogi
jako pierwszy
demaskator liberalizmu.
Masa wie
mimo wykrętów wszelakich,
że chwiejąc się
niczym liberał
świecidła
u Lermontowa
płyną bez żagli,
niektóre zaś nawet —
bez steru.
Lecz ważny ten temat
czy tak
ująć trzeba?
W indywidualizmach się plątać?
Demony do piekieł,
a duchy —
do nieba?
A gdzie, ja was pytam, kontakt?
Dość mamy
tej
zaświatowej legendy
Byle wiersz
zacytowany
dowodzi,
że Lermontow
był inteligentem,
co gorsza —
zdeklasowanym!
Cóż za porównanie
do naszego Ziutka, —
(wypadło mi nazwisko
wbrew chęci najszczerszej)
w jego wierszach
brzmi
Kominternu pobudka!..
Oto
jakie
powinny być wiersze!
Ziutek
drogę
w przyszłość nam mości.
Nie jemu
czas
na wymysły tracić!
Ziutek
tworzy,
nie mącąc świadomości,
bez gierek
rymów
i alliteracyj.
U Ziutka
niewiedzę,
gdzie myślnik,
gdzie kropka,
zastępuje
instynktowne
klasowe podejście,
dlatego że
matką
była mu chłopka
a ojcem —
robotnik i chłop jednocześnie."
W końcu
rzecz prostą
jak jeden i jeden
tak zmąci,
że czart się nie wyzna.
I te oto
góry
niewymyślnej bredni
nazywają
niektórzy
marksizmem.

(Dokończenie ze strony 3)

Wielkie książki współczesne powstają w terenie, a nie — za zielonym biurkiem. „Traktory zdobędą wiosnę" są książką z prawdziwego terenu, pulsującą żywą, ludzką, rewolucyjną treścią, nawałem obserwacji z życia autentycznych ludzi. Książka Zalewskiego ma jeszcze jedną wielką zaletę. Spółdzielnia w Dankowicach powstała we wrześniu ostatniego roku, po uchwale Biura Organizacyjnego z maja 1949 w sprawie wzmożenia aktywności na froncie spółdzielczości produkcyjnej **). Jest jedną ze stu siedemnastu nowych spółdzielni, które tworzą się między majem a listopadem. Zalewski zdążył ze swą książką na kampanię siewną wiosną 1950 roku. Książka Zalewskiego jest najbezpośredniej związana z aktualnymi zadaniami partii na odcinku wiejskim: dalszego umacniania istniejących spółdzielni (gdyż, jak trafnie powiedział jeden z sekretarzy powiatowych, „założenie spółdzielni, to dopiero początek a nie koniec pracy"), oraz szerokiej kampanii zakładania nowych spółdzielni produkcyjnych. Książka Zalewskiego może służyć za przykład literatury zaangażowanej. Twórca książki „o zaorywanym ugorze" staje na równi z aktywnym działaczem partyjnym z wiejskiego frontu. Książka Zalewskiego, jest niesłychanie potrzebna zarówno uczestnikom walki na wsi, jak całemu postępowemu odłamowi naszego społeczeństwa, bowiem uświadamia politycznie i poucza, mobilizuje i uodparnia, uzbraja i rozentuzjazmowuje. Musi ona czym prędzej wrócić tam, skąd wyrosła: w Działdowskie, do Starachowic, a również do wielu innych miast, mieścin i wiosek. Czy może być dla pisarza większy sukces?

Tadeusz Drewnowski

**) Patrz art. Wł. Reczka „Pierwsze doświadczenia spółdzielczości produkcyjnej", „Nowe Drogi", nr 1, (19).

ADOLF SOWIŃSKI

Na drogach wolności

Stare dokumenty, a zwłaszcza stare pamiętniki stoją bardzo często w jaskrawej sprzeczności z ubrązowioną i ucukrowaną historiografią tradycyjną. Historiografia ta aż do pierwszych dziesiątków lat ubiegłego wieku nie dawała — powiedzmy to po belfersku — ucha ostrzeżeniom znanego jej dobrze Lucjana z Samosaty, że pas graniczny pomiędzy historią a panegirykiem i legendą jest bardzo wąski. Gdy pobożny Jan Kazimierz toczył w r. 1665 wojnę domową ze stronnikami Lubomirskich i zajechał na Mazowszu w gościnę do szlachcica Sułkowskiego, któremu wojsko królewskie wycięło lasek brzozowy na szałasy, Jan Chryzostom Pasek notuje pod tą datą w swych pamiętnikach następującą scenę, którą na własnych śmieciach urządziła królowi małżonka tego szlachcica, mszcząc się za dokonaną szkodę:

„Dopieroż owa, przybliżywszy się przeciwko niemu, klęknie, ręce złożywszy ku niebu podniesie i mówi: „Panie Boże sprawiedliwy! — król, co już miał zsiadać, zatrzymał się — jeżeliś kiedykolwiek różnymi plagami karał złych, niesprawiedliwych królów, wydzierców, szarpaczów, krwie ludzkiej niewinnej rozlewców, dziś pokaż sprawiedliwość twoję nad królem Janem Kazimierzem, żeby pioruny na niego z jasnego nieba trzaskały, żeby go pierwsza kula nie minęła, żeby wszystkie owe, które dopuściłeś na faraona, jego dotknęły plagi za te wszystkie krzywdy, które my ubodzy ludzie cierpimy i całe królestwo!" Mąż jej gębę zatyka, a ona tym bardziej mastykuje. Król nazad do wrót..."

Jeżeli zachowamy w pamięci żywy realizm tej sceny przy lekturze tradycyjnych dzieł i podręczników, opisujących wojnę domową Jana Kazimierza z lubomirszczykami, to na pewno umocnimy się jeszcze bardziej w przekonaniu, że pas graniczny pomiędzy historią a panegirykiem, w szczególności zaś legendą jest nie tylko wąski, ale i śliski jak gołoledź. Czy jednak na tym pasie granicznym należy szukać historycznej prawdy? Z pewnością nie. Bo nie zbliżylibyśmy się do niej ani o krok, gdybyśmy nawet odnaleźli autentyczny dokument, stwierdzający, że krewka szlachcianka Sułkowska nie tylko zwymyślała Jana Kazimierza, ale i użyła jeszcze przeciwko niemu tęgiego brzozowego kija, ostatniego który jej został po brzeźniaku, wyciętym przez królewskie wojsko. Nie uzyskamy również prawdy historycznej, gdy — opierając się na wiarogodnych odkryciach archiwalnych — ze sławnych hetmanów zrobimy tchórzów, wyliczymy wszystkie kochanki bogobojnych królów, a odzianym w purpurę cesarzom każemy — zgodnie ze starym przysłowiem — chodzić piechotą tam, gdzie i współcześnie chodzi się piechotą. Owszem, i to jest historia, ale historia w formie plotki, dopatrywanie się prawd w surowym i stanowczo nie najważniejszym materiale.

Prawdę historyczną możemy odsłonić jedynie przez właściwe ustawienie zagadnień, właściwe ustawienie sił społecznych, które historię tworzyły i tworzą. Dopiero wtedy, gdy trafnie ujmiemy zagadnienia, będziemy mogli — o ile to okaże się słuszne — wyśpiewać panegiryk na cześć Żółkiewskiego pod Cecorą, a Karolowi Chodkiewiczowi dyktować na postoju autentyczny list do żony, aby — jeśli już koniecznie tego pragnie — kupiła sobie karła, ale nie kładła go na noc w nogach łóżka, bo to tylko srom i obmowę ludzką sprowadzi. Inaczej popadniemy w błąd powierzchownej i naiwnej opisowości, zabarwionej dodatnio lub ujemnie sympatią lub uprzedzeniem autora w odniesieniu do danej epoki lub danej postaci.

Postulat, aby zagadnienia przewodniczyły opisowości, odnosi się zarówno do historiografii, jak i do powieści historycznej. I jedna i druga ma za sobą te same grzechy, tyle że powieść historyczna popełniła ich o wiele więcej i jeszcze dziś potrafi trwać w złym. Gdy w okresie międzywojennym odrzuciła tradycyjne koturny i zajrzała do sypialń, zaczęła tylko co innego opisywać, ale bynajmniej nie nauczyła się problematyki. Przykładów tego typu, co „Kordian i cham" Leona Kruczkowskiego, niewiele dałoby się znaleźć. Ale to jest właśnie przykład znamienny, gdy powieściopisarz staje się utalentowanym pisarsko historykiem, dającym żywe naświetlenie straszącej legendą epoki. Nie powinna bowiem istnieć zasadnicza różnica między historykiem a powieściopisarzem historycznym. Obydwaj muszą panować nad materiałem przy pomocy najlepszych metod, których dostarcza im współczesna epoka. Powtórzmy: prawda historyczna ukazuje się tylko na tle zagadnień. Historyk unaocznia ją wyłącznie przy pomocy autentycznych faktów, traktując ustalenie tych faktów jako rodzaj nauki pomocniczej. Powieściopisarzowi wolno swój materiał ilustracyjny rozszerzyć, wolno mu na podstawie jednego faktu autentycznego stworzyć dziesięć faktów prawdopodobnych czyli podobnych do autentycznego, jak wolno mu to robić i we współczesności. To chyba jedyna różnica merytoryczna, bo artyzm, który musi występować w powieści, jest już tylko różnicą środków pisarskich. Nie warto rozwodzić się nad tym, że w odniesieniu do człowieka nie ma zagadnień prawdziwych poza historią życia społecznego.

Uwyraźniły mi się te myśli, gdy czytałem ostatnio trzy świetne powieści historyczne Howarda Fasta — „Niezwyciężonego", „Bitwę pod Valley Forge" i „Drogę do wolności" [1]). Howard Fast widzi historię epok, które obrał sobie za temat, również i poprzez ten typ dokumentów, jakim jest zacytowany wyżej fragment z „Pamiętników" Paska, a nawet tego rodzaju niecenzuralne w tradycyjnej historiografii fakty rozsypuje bardzo szczodrą ręką po swych powieściach. Traktuje to jednak jako historię drugiego rzędu, jako szerokie tło obyczajowe, dzięki któremu zagadnienia zasadnicze nabierają miąższu i operują autentycznym materiałem życiowym. Bo jeżeli u nas Boy szukał prawdy historycznej na pograniczu legendy i historii, ale metodycznie nie wyszedł poza traktowanie historii jako plotki, odkrywając jeszcze jedną czy jeszcze setną ciekawostkę, to pokrewny mu nieco w poszukiwaniu fabularnych autentyków historycznych Fast podporządkowuje całe mnóstwo ciekawostek, które odkrył lub przypomniał, wielkim zagadnieniom społeczno-politycznym.

Howard Fast

W przytoczonych juz książkach występują dwa tego rodzaju zagadnienia. Pierwszym z nich jest sprawa walki Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej przeciwko Anglii o niepodległość w końcu osiemnastego stulecia i wyrastająca na tym tle postać Jerzego Waszyngtona, drugim — późniejsza o kilkadziesiąt lat walka o zniesienie niewolnictwa Murzynów.

Pierwszemu z tych zagadnień poświęca Fast dwie powieści: „Niezwyciężonego" i „Bitwę pod Valley Forge". W „Niezwyciężonym" rewolucyjno-niepodległościową walkę ludu amerykańskiego widzimy od strony jej głównego przywódcy i bohatera: Jerzego Waszyngtona. „Ci — pisze Fast w posłowiu do tej powieści — którzy pozłocili amerykańską rewolucję, ukrywając w cieniu szlachetny i mężny wysiłek ludu i zachowali ją pod szklanym kloszem na użytek Cór Amerykańskiej Rewolucji i Synów Amerykańskiej Rewolucji [2]), pozłocili także człowieka, który nią kierował... Ta książka jest próbą wskrzeszenia człowieka i ludzi wokół niego, wskrzeszenia ich nie jako cynowych bożków, lecz jako ludzi, którymi byli w moich oczach — jako żywe ludzkie istoty, stojące z wytrwałym uporem przy sprawie, którą śmiało można było nazwać sprawą przegraną".

„Niezwyciężony" ujmuje powieściowo ten właśnie moment, gdy sprawa niepodległości amerykańskiej zdawała się być przegraną. Wycieńczona, źle uzbrojona i nieumundurowana amerykańska armia ludowa, topniejąca raz po raz do kilku tysięcy ludzi, którymi w poszczególnych jednostkach dowodzą częstokroć dwudziestoparoletni generałowie, cofa się nieustannie przed przeważającymi liczebnie, doskonale uzbrojonymi i wyszkolonymi wojskami angielskimi i najemnymi, spotykając się na drodze swego tragicznego odwrotu z wrogą postawa kupców w miastach i kwakrów na wsi. W spalonym Nowym Jorku, który był podówczas drewnianą mieściną, nie dosięgającą trzydziestu tysięcy mieszkańców, grasuje terror angielski, ulice zasłane są trupami, tłumy dezerterów przedzierają się bezdrożami i lasami. To, co jest jeszcze armią powstańczą, przeprawia się wśród zimy przez rzekę Delaware w stanie New Jersey i raczej z zupełnego wycieńczenia niż z jakichkolwiek względów strategicznych zatrzymuje się pod Trenton. Zatrwożony Kongres, który niedawno tak uroczyście i z takim zapałem proklamował niepodległość Ameryki, teraz — w zamiarze zrzucenia z siebie odpowiedzialności przed królem angielskim — przekazuje całą władzę cywilną i wojskową Waszyngtonowi.

Trenton staje się punktem zwrotnym w walce wyzwoleńczej. Tam, zimą r. 1776, przeprawiwszy się z powrotem przez Delaware, tłum zagłodzonych, przemarzniętych i obdartych rewolucjonistów odnosi pod wodzą na pół przytomnego z bezsenności Waszyngtona wspaniałe zwycięstwo nad regularną armią Anglików i najemnych Hessów.

Kapitalizm amerykański we wszystkich swych stadiach, a więc i w swym stadium współczesnym konsekwentnie starał się zatrzeć piętno rewolucji ludowej, dzięki której Stany Zjednoczone uzyskały niepodległość. Fast z całą stanowczością i żarem pisarza, który nienawidzi „wrzaskliwych wrogów demokracji", przeciwstawia się temu postępowaniu unaoczniając w sposób historycznie i ideologicznie jasny, że niepodległość i dobrobyt Ameryka zawdzięcza jedynie amerykańskiemu ludowi, który powstał ongi przeciwko brutalnej przemocy jednego z państw „starego kraju". W „Niezwyciężonym" widzieliśmy to powstanie niejako od góry, od strony wodza. „Bitwa pod Valley Forge" pokazuje nam, jak wyglądała ta sama walka w szarych szeregach rewolucjonistów.

Bo świetne zwycięstwo pod Trenton było tylko pierwszym udanym posunięciem w walce, która musiała toczyć się jeszcze latami. Zimą r. 1778 zastajemy armię Wa-

[1]) **Howard Fast:** „Niezwyciężony", przeł. Krystyna Tarnowska, str. 281, „Książka i Wiedza", Warszawa 1949; „Bitwa pod Valley Forge", przeł. Jan Karen, str. 264, Klub Dobrej Książki („Czytelnik"), Warszawa 1949; „Droga do wolności", przeł. Zofia Meissner, str. 321, „Książka i Wiedza", Warszawa 1949.

[2]) „Związek obejmujący potomków przywódców Amerykańskiej Rewolucji" (przyp. w tekście cytowanej powieści).

ANNA JAKUBISZYN

Kronika monarchii lipcowej

Stendhal

„Trzy dni chwały" 1830 roku to kamień milowy, oznaczający wstąpienie Francji w nowy etap nieskrępowanego niczym rozwoju kapitalizmu i ekspansji kolonialnej. Bogate mieszczaństwo, dyskontując poryw lipcowy ludu paryskiego, osadza na tronie Ludwika Filipa, syna „królobójcy" Filipa Egalité, uosobienie kompromisu między feudalną przeszłością, a burżuazyjną teraźniejszością. Już pierwszy rząd, powierzony bankierowi Laffitte'owi, charakteryzuje w dostatecznej mierze tę monarchię konstytucyjną, gdzie o polityce decydują potentaci Giełdy. Podczas gdy stronnictwo rządzące ściera się w Parlamencie z różnoraką opozycją, republikanów, legitymistów i bonapartystów, ulice miast przemysłowych (zwłaszcza Lyonu) stają się coraz częściej widownią krwawo tłumionych wystąpień robotników, których świadomość wzrasta wraz z liczbą. Armia, gdzie byli oficerowie napoleońscy ocierają się o „złotą młodzież" mieszczańską, zakupującą stopnie — niejednokrotnie używana jest przeciw ludowi. Coraz jaskrawiej zarysowujące się sprzeczności młodego i prężnego kapitalizmu jednają zwolenników pierwszym teoretykom utopijnego jeszcze socjalizmu, Fourierowi i Saint-Simonowi. Tak przedstawia się w najogólniejszych zarysach epoka, która stała się tłem znakomitej, aczkolwiek nie dokończonej powieści Stendhala „Lucjan Leuwen" *).

Rok 1830 był datą przełomową również w życiu Stendhala. Byli oficerowie i urzędnicy napoleońscy, odsunięci w okresie Restauracji, pod rządami Ludwika Filipa uzyskują nowe możliwości. Perspektywy kariery otwierają się również przed „żołnierzem, którego cesarz ujął pod Görlitz za guzik surduta": były intendent Wielkiej Armii, Henryk Beyle, mianowany zostaje konsulem w Trieście. Gdy rząd austriacki admawia exequatur „bezbożnikowi, rewolucjoniście, wrogowi prawowitości i wszelkiego legalnego rządu", Stendhal przeniesiony zostaje na analogiczne stanowisko do niewielkiego portu w Państwie Kościelnym, Civita Vecchia, zapadłej, sennej mieściny, której jedyną dobrą stroną jest bliskość Rzymu. Tu — z przerwami urlopowymi — Stendhal spędza ostatnich dwanaście lat swego życia, które przynoszą większość najznakomitszych jego dzieł, w tej liczbie „Lucjana Leuwena", pisanego w latach 1834—5.

W początkach swego pobytu w Civita Stendhal oddaje się redagowaniu „Wspomnień egotysty", pisze nowele „San Francesco a Ripa" i „Żyd" oraz autobiograficzny fragment, stanowiący niejako preludium do „Lucjana Leuwena", zatytułowany „Pozycja społeczna". W roku 1833 podczas pobytu w Paryżu otrzymuje od swej znajomej, Mme Jules Gauthier, rękopis do oceny. Energia twórcza Stendhala wymagała — jak o tym świadczy szereg faktów — bodźca z zewnątrz w postaci rzeczywistego zdarzenia lub pomysłu literackiego. Ów „Porucznik" Mme Gauthier, który zresztą nie dochował się do naszych czasów, stał się punktem wyjścia dla „Lucjana Leuwena", powieści, wzmiankowanej również w notatkach Stendhala jako „Lasek Premol", „Zielony strzelec" oraz „Pomarańcza maltańska".

„Czerwone i czarne" opatrzone zostało przez autora podtytułem „kronika XIX wieku". Jako dalszy ciąg tej kroniki, dotyczącej już nie Restauracji, lecz Monarchii Lipcowej, pomyślany był niewątpliwie „Lucjan Leuwen".

Stendhal zgodnie ze swym zwyczajem zamknąć chciał obraz epoki w ramach życia głównego bohatera, a trzy zamierzone części powieści odpowiadać miały pobytowi Lucjana w Nancy, Paryżu i Rzymie. Napisawszy jednak dwie pierwsze części, Stendhal, zaabsorbowany innymi pracami, przede wszystkim „Pustelnią cielnego mogą nam dać „Przechadzki po wieść, by nigdy już do niej nie powrócić. Przedsmak tego, czym mogła być część, poświęcona stolicy Państwa Kościelnego mogą nam dać „Przechadzki po Rzymie" lub „Rzym, Neapol, Florencja"... Mimo jednak braku zakończenia, mimo luk i szkicowo potraktowanych partii w dwu pozostawionych tomach, skłonni jesteśmy, zwłaszcza dziś, dopatrywać się w tej powieści jednego z najciekawszych, najbardziej pasjonujących dzieł Stendhala.

Stendhal, obrawszy tu na bohatera młodzieńca z bogatej rodziny mieszczańskiej, ukazuje go na tle szeregu środowisk, składających się na niepełny, ale prawdziwy i wyrazisty przekrój ówczesnego społeczeństwa francuskiego. Zabiera tu głos namiętny obserwator człowieka i jego spraw, bywalec salonów literackich, gdzie ogniskowała się postępowa opinia Francji, publicysta, który zaopatrywał czasopisma angielskie w równie cięte jak wnikliwe przeglądy najważniejszych wydarzeń i osobistości życia politycznego i kulturalnego swego kraju.

Pierwszy tom powieści, który ukazał się obecnie w polskim przekładzie, przynosi obraz prowincji francuskiej owych lat.

Lucjan Leuwen, syn wielkiego bankiera, wydalony z politechniki, gdyż „wybrał się na przechadzkę w niestosownej chwili" — w momencie rozruchów, tak częstych po roku 1830 — dzięki „interwencji" ojca przywdziewa mundur porucznika lansjerów i wyjeżdża do garnizonu do Nancy. Ten młody sympatyk republikanów, który jak dotychczas zadał sobie jedynie trud urodzenia się i któremu majątek ojca pozwalał na omijanie wysiłków i brudów życia, szeroko rozwartymi, już to oburzonymi, już to rozbawionymi oczyma patrzy na świat, najzupełniej odmienny od wytwornego salonu pani Leuwen, czy jego własnych wyobrażeń.

A więc przede wszystkim armia, nie mająca nic wspólnego z romantycznymi marzeniami świeżo-upieczonego porucznika. Rej wodzą w niej dawni oficerowie napoleońscy, którzy, zapomniawszy doszczętnie o rewolucyjnej młodości, zaprzedali się w służbę bogatemu mieszczaństwu, typowa soldateska, tępa i brutalna, pozbawiona na dobitek wszelkiej szansy wyżycia się, chyba w niesławnej walce z robotnikami. Stendhal bezlitośnie demaskuje upadek moralny dawnych bahaterów, czy będzie to ów podpułkownik Filloteau, tak skwapliwie przyjmujący podarunki od podwładnego, czy baron Cesarstwa, dowódca dywizji Thérence, który „na wojnie słynął godnym podziwu męstwem", by w swym prowincjonalnym garnizonie drżeć przed płaskim żartem w gazecie, mającej stu czytelników. Jedyni, którzy zasługują na sympatię Lucjana — i autora — to prości żołnierze i podoficerowie-republikanie, ukazani zresztą raczej marginalnie.

Oficerowie i urzędnicy z prefektem Fléron na czele — to filary oficjalnego świata Nancy. Wszechstronniej jeszcze, a równie wyrazistymi barwami odmalowuje Stendhal obóz przeciwny: prowincjonalną arystokrację, nieprzejednanych legitymistów. Wierni bezpowrotnej przeszłości, zamykają się w swych apartamentach i swych przesądach, niczego nie zapominając i niczego nie mogąc się nauczyć: dostojne matrony, równie przejęte losem tronu, jak zamążpójściem swych córek, czcigodni ojcowie i młodzież, eksoficerowie armii królewskiej, którzy po dymisji w roku 1830 przeżuwają swą bezpłodną gorycz i bezczynność. Wszyscy ci „byli ludzie" stają się bezwolnym narzędziem „parweniusza" doktora Du Poirier, który w obozie legitymistycznym wyżywa swą żądzę władzy i intryg. Du Poirier, rozkoszując się swą pozycją wśród „dobrze urodzonych", traktuje ich jako stopnie do swej kariery (w dalszym ciągu zostawszy deputowanym z ramienia legitymistów, szybko położy kres swemu „nieprzejednaniu").

Zwolennicy Monarchii Lipcowej i legitymiści zgadzają się w jednym tylko punkcie — w swej nienawiści do republikanów. W 1-ym tomie reprezentuje ich „redaktor naczelny podżegającej gazety, wydawanej pod nazwą „Jutrzenka", Gauthier, postać, nakreślona z niezwykłym u Stendhala ciepłem. „Gauthier myślał poważnie i nigdy nie kłamał; był fanatykiem wzajemnego zaufania. Poprzez fanatyczną miłość do Francji jako takiej przebijała naprawdę piękna dusza... Panu Gauthier nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby kraść, utrzymywał się z pracy zawodowej, był mierniczym, zatrudnionym przy robotach publicznych. Jeśli zaś chodzi o jego dziennik, „Jutrzenka" kosztowała go pięćset do sześciuset franków rocznie, nie licząc miesiąca w więzieniu".

A jakież stanowisko zajmuje wśród tego Lucjan, stanowiący w dużej mierze porte-parole autora? Wydaje mi się, że postawę jego określić można by dość wiernie popularnym dziś określeniem „kompleksów inteligenckich". Lucjan sympatyzuje z republikanami, ale stanowisko jego uwarunkowane jest wyraźnie jego przynależnością do klasy uprzywilejowanej. Oto jak Lucjan sam nad tym rozmyśla: „Nie jestem republikaninem, brzydzę się jednak podłością różnych Malherów i Marquinów. Czym więc jestem? Napewno niczym ważnym, tak mi się zdaje. Mój kuzyn Develroy mógłby mi wrzasnąć w samo ucho: jesteś człowiekiem szczęśliwym, bo ojciec twój stworzył ci kredyt u poborcy generalnego w prowincji Meurthe". Lucjana od republikanów dzieli nie tylko brak wiary w możliwość realizacji ich haseł — dzieli go przede wszystkim wychowanie i nawyki, nabyte w salonie matki, dzieli go jego „doskonała edukacja".

Stendhal z całą siłą swego wielkiego realizmu odtwarzał prawdę o Monarchii Lipcowej — silniej jeszcze niż w pierwszym tomie wystąpi to w drugim, gdzie odsłonięte zostają kulisy ówczesnego parlamentaryzmu, ze wszystkimi jego brudami, które zresztą w ciągu wieku nie uległy zbyt wielkim zmianom. Równocześnie żywił on wiarę w przyszłość, od której oczekiwał nie tylko uznania swej własnej twórczości. Ale tu w postawie jego zachodzi pewna swoista niekonsekwencja, właściwa krytykowi, który nie może wyjść poza ramy swej epoki i swej klasy. Stendhal przepojony jest XVIII-wieczną ideologią Oświecenia, wiarą w postęp i potęgę rozumu, napróżno jednak szukalibyśmy w jego dziełach realnych sił, które są czynnikiem postępu i wcielą w życie owe racjonalne idee (jego wzmianki o robotnikach nacechowane są przede wszystkim współczuciem).

W „Lucjanie Leuwenie" podobnie jak w innych swych dziełach, Stendhal przeciwstawia potępianym przez siebie ustrojom i warunkom społecznym wyjątkowe jednostki, których los w ostatecznej konsekwencji jest „losem piękna na tej ziemi". Ci samotniczy bohaterowie, obdarzeni głębią i szlachetnością uczuć, która staje się przyczyną ich tragedii, są wyrazem klęski realisty, któremu nie danym było wśród splątanych ścieżek rodzącego się imperializmu dojrzeć późniejszych, szerokich, wstępujących dróg historii.

Stendhal w trakcie pisania swych dzieł stosował często dość osobliwą metodę: najpierw kreślił węzłowe momenty akcji, związanej z postaciami głównych bohaterów, a potem dopiero uzupełniał tło. Postępując w kolejności wręcz odwrotnej, poświęćmy nieco uwagi bardziej osobistym momentom omawianej powieści. Znane jest powiedzenie Flauberta, który, zapytany o genezę swego arcydzieła, odrzekł: „Pani Bovary — to ja". Z większą jeszcze ścisłością mógłby to powiedzieć o swych bohaterach Stendhal, w którego powieściach elementy autobiograficzne odgrywają wręcz kapitalną rolę. „Lucjan Leuwen" nie jest w tym względzie wyjątkiem. Główny bohater, to zmodyfikowany nieco autoportret, od którego przejął nie tylko niedokończone studia politechniczne (Stendhal zresztą zanierzał dopiero zacząć je) i jego doświadczenia ze służby wojskowej (nietrudno odkryć analogie między początkami służby Lucjana i młodego Henryka Beyle, zdążającego do Armii Włoskiej), ale w dużej mierze jego światopogląd i — przede wszystkim — uczciwość. Miłość Lucjana do Batyldy De Chasteller, to przecież raz jeszcze odtworzona miłość Stendhala do wyniosłej i niedostępnej ukochanej Ugo Foscola — Matyldy Dembowskiej (nawet imię uległo minimalnej tylko zmianie). Również i w innych postaciach powieści której autor z zasady kształtował swych bohaterów na podstawie konkretnych pierwowzorów, z łatwością odnajdziemy jego bliskich i znajomych. I tak np. pani d'Hocquincourt to przyjaciółka Stendhala, hrabina Curial, ojciec Leuwena — jego dziadek, doktor Gagnon. Tu zresztą oryginał nie został wybrany najtrafniej: uroczy starszy pan, typowy przedstawiciel XVIII-wiecznego wolnomyślnego mieszczaństwa, nie wiele ma wspólnego z prawdziwymi bankierami owej epoki, których niezrównane wizerunki pozostawił Balzac.

Zresztą ten ukłon w stronę XVIII wieku nie może dziwić u autora, który w konstrukcji swych powieści, w stylu, w mistrzowskiej sztuce portretowania jest świadomym kontynuatorem tradycji minionych stuleci, przeciwstawianych romantycznemu rozwichrzeniu i emfazie.

Stendhal, zapoznany przez swych współczesnych, dzieła swe dedykował garstce wybrańców — „to happy few" — ale garstka ta, zgodnie z jego przewidywaniami, obejmuje coraz to szersze kręgi. Polskiemu czytelnikowi najwybitniejsze dzieła Stendhala udostępnione zostały przez Boya-Żeleńskiego; obecnie „Książce i Wiedzy" zawdzięczamy przyswojenie jeszcze jednego arcydzieła, w bardzo dobrym przekładzie Juliana Rogozińskiego. Tłumacz znakomicie wżył się w styl Stendhala, który przy swej wyszukanej prostocie, zwięzłości i nonszalancji jest tym trudniejszy od oddania. Przekład „Lucjana Leuwena" jest nową cenną pozycją w dziedzinie popularyzowania klasyków literatury.

Anna Jakubiszyn

*) Stendhal: „Lucjan Leuwen", tom I, tłum. z franc. Julian Rogoziński, „Książka i Wiedza", 1950.

szyngtona wśród zasp śnieżnych, trzaskającego mrozu i wichrów w (dolinie) Valley Forge. Żołnierze gotują godzinami skórzane pasy od muszkietów, aby tą dziwaczną potrawą uciszyć na chwilę głód, gdyż bogobojni kwakrzy okoliczni, stojąc po stronie dawnego porządku rzeczy, odmawiają dostaw żywnościowych. Żołnierze giną masami od chorób i odmrożeń, giną również masami na zlodowaciałych polach i w zaśnieżonych lasach, gdy usiłują zdezerterować. Tak wygląda codzienna prawda historyczna tych bohaterów wolności, których jedyną rozrywką są zarażone kobiety, od lat ciągnące za wojskiem.

Ale jest jeszcze niecodzienna prawda, ta, która stworzyła historię. W ciągu długich miesięcy zimowych, gdy wszystko zdawało się znowu być stracone, wśród żołnierzy wytwarzają się nowe formy poczucia wspólnej sprawy rewolucyjnej i ogarnia ich wściekłość, obracająca się swym ostrzem przeciwko nieprzyjacielowi, który zapadł wygodnie na leże zimowe w Filadelfii, zawarłszy sojusz z tamtejszym kupiectwem, zainteresowanym w obrotach handlowych z imperium brytyjskim przeciw interesom własnego ludu. „W całej Europie nie ma wolności" — mówi któryś z żołnierzy w obozie. — „Ale wolność będzie tutaj" — odpowiada inny.

Toteż gdy w Valley Forge pękły lody i nastała wiosna, zbiedzona armia znowu odnosi świetne zwycięstwo. „W tej dolinie poświęceń — mówi napis na pomniku poległych tam rewolucjonistów użyty przez Fasta jako motto powieści — w tej dolinie cieni, w tej dolinie śmierci, z której powstała żywa Ameryka, wolna i odrodzona, trzeba uwierzyć z niezachwianą siłą, że... jedność będzie tak słodka, postęp tak wspaniały jako dla ojców naszych, i jako dla ciebie i dla mnie, i że prawa, które uszczęśliwiały nas, przetrwają dzięki cnocie dzieci naszych i uszczęśliwiać będą najdalsze pokolenia przyszłych czasów".

Oto przykład, jak historia przeciwstawia się współczesnemu złu. Fast przeprowadza tę zasadę i w trzeciej z wymienionych powieści: w „Drodze do wolności". Tematem tej powieści jest sprawa murzyńska po wojnie secesyjnej.

Tak zwana wojna secesyjna wybuchła w r. 1860. Jedenaście południowych stanów oderwało się od państwa, dokonując wyboru własnego prezydenta. Co było tłem tej amerykańskiej wojny domowej? Niewątpliwe sprzeczności gospodarcze pomiędzy uprzemysłowioną Północą, a na pół feudalnym Południem, gdzie niezmierzone plantacje uprawiali czarni niewolnicy. Plantatorskie Południe twardo stało przy niewolnictwie, dostarczającym nieomal darmowego robotnika rolnego, podczas gdy przemysłowy kapitalizm Północy żądał nieskrępowanego rynku pracy najemnej. Nic dziwnego, że w tych warunkach walka o zniesienie niewolnictwa wyszła z Północy, strojąc się tu i ówdzie po drodze w filantropię. Walka ta zakończyła się zwycięsko wraz ze zwycięstwem Północy nad Południem w wojnie secesyjnej. 31 stycznia 1865 r. trzynasta poprawka do konstytucji związkowej ostatecznie zniosła niewolnictwo w Stanach Zjednoczonych.

Tu zaczyna się „Droga do wolności", obejmując okres tak zwanej „rekonstrukcji" czyli „odbudowy" gospodarczej i administracyjnej stanów południowych. Dawni obszarnicy-plantatorzy na nowo podnieśli tam głowy, tworząc osławiony Kuklux-Clan, którego zakapturzone i przebrane w biel dla postrachu bandy wycinały w pień całe wsie murzyńskie, jeżeli gdziekolwiek Murzyn ośmielił się upomnieć o swą godność ludzką, stworzyć szkołę i dążyć do gospodarczej samodzielności. Zniesione dopiero co niewolnictwo dosłowne szybko przybiera kształty niewolnictwa kapitalistycznego, popartego dyskryminacją rasową. Murzyni próbują walczyć, ale najczęściej muszą ulec przemocy.

Na tle tych walk pokazuje Fast piękną postać Gedeona Jacksona, który z prostego, niepiśmiennego robotnika rolnego wyrasta na wybitnego męża stanu. Być może, iż pani Harriet Beecher Stowe, żona pastora, w swej „Chacie wuja Toma" (r. 1882) ulepiła (niezależnie od epokowej doniosłości tej książki w dziejach walk o zniesienie niewolnictwa w Ameryce) swych czarnych ze zbytniej pokory. Historyczny Gedeon Jackson, który swym świetnym umysłem wpłynął na udemokratycznienie konstytucji Stanów Zjednoczonych po wojnie secesyjnej, nie odbiega jednak swym charakterem zbyt daleko od atmosfery tej pierwszej książki, mówiącej jaką taką prawdę o amerykańskich Murzynach. Jego chrześcijaństwo nie da się odróżnić od demokracji, jest świadomym stanowiskiem solidarności ludów bez względu na kolor skóry, zanim to stanowisko otrzymało nowoczesną formułę teoretyczną. I gdy Gedeon Jackson w oblężonej przez Kuklux-Clan wiosce umierał razem z Murzynami i białymi chłopami, „jego... myśli sięgały początku: gdy naród był w niewoli, gdy go kupowano i sprzedawano jak bydło. Myślał o tym, jak ciężkie warunki upodliły ten inny naród, który nie miał czarnej skóry, ale także pracował własnymi rękami... jak mało było wtedy nadziei w tym kraju, a jak pomimo to naród nadziei nie tracił".

Wartości ideologiczne i pisarskie trzech omówionych książek stawiają Howarda Fasta w rzędzie czołowych pisarzy postępowych współczesnej Ameryki. Jest w nim, jak była niegdyś w poezji Walta Whitmana, demokracja jako instynkt, ale powiększona i zwielokrotniona umiejętnościami historyka, znającego przedmiot i na ogół trafnie naświetlającego zagadnienia. Dostrzegł je w walce ludu amerykańskiego o niepodległość przeciw kolonialnej Anglii, sprzymierzonej z miejscową, narastającą gwałtownie wielką finansjerą, dostrzegł je również w wyzwoleńczej walce społecznej Murzynów, których stara pieśń pochodząca z czasów wojny secesyjnej, mówi słowami jakiejś pierwotnej „Marsylianki":

„Nie rośnie trawa na drodze wolności,
na drodze wolności nie rośnie trawa.
Dziadku Johnie Brown [3] — idziemy,
idziemy,
idziemy po drodze wolności!"

Dobre przekłady omówionych książek Fasta wyszły spod piór Krystyny Tarnowskiej („Niezwyciężony"), Jana Karena („Bitwa pod Valley Forge") i Zofii Meissner („Droga do wolności").

Adolf Sawiński.

3) John Brown (ur. 1800), farmer, urządził w stanie Wirginia nieudane powstanie niewolników, po czym został ujęty i stracony w Charlestown w r. 1859, na rok przed wybuchem wojny secesyjnej, a na sześć lat przed zniesieniem niewolnictwa w ogóle.

JERZY PIETKIEWICZ

Rutyniarz

I

Rok 1947.

Zielona Dolina, a tak niedawno jeszcze Grüneboden, jest jedną z tych uroczych dolnośląskich miejscowości, gdzie z nastaniem lata jakby ze wstydu znikają pośród zieleni niegustowne i tandetne, pstrokate domki, a przypadkowy wędrowiec rozkoszuje się wtedy już tylko widokiem pobliskich gór sudeckich i wchłania w płuca soczysty zapach przekwitających jabłoni. Płatki tego kwiecia zaścielają asfaltową pętlę szosy, nad którą pochylają się liściaste kołtuny krzaków i owocowych drzew. Nazwę zawdzięcza wioska swemu położeniu: na południu i na północy rozciągają się góry zalesione, pożyłkowane jasnymi dróżkami, które jak strumyki schodzą się do głównego strumienia — drogi. Ze wschodu na zachód biegnie nasyp kolejowy, obok szosa, przy niej, jakby korzystając z okazji, wąska i kręta rzeczułka, bez nazwy, zamulona zawsze i mało użyteczna.

Teraz w Zielonej Dolinie mieszkają prawie sami Polacy. Niejeden, widząc młodych Niemców ciągnących w kierunku dworca wózki obładowane tłumokami, klnie z cicha: — „Wyjeżdżają, a kto nam naprawi most, kto odbuduje elektrownię, młyn? Zburzyć umieli..." Rzeczywiście. Zniszczenia są duże, a zbyt mało było czasu dla przywrócenia wiosce pokojowego wyglądu. Usunięto dotychczas tylko gruzy, zasieki, pozasypywano okopy. Zdarza się jeszcze, że gdzieś wybuchnie nagle ukryta mina. Wiadukt leży dotąd w rzeczułce, odciągnięty nieco na bok, a szyny ułożono na wysokiej stercie kolejowych podkładów. Trzypiętrowy, parowy młyn nie nadaje się do użytku, ziejąc pustką. Niewielki murowany domeczek na skraju wioski, gdzie mieściła się niegdyś elektrownia, jest opustoszały, pęknięty na dwoje. Czyjaś nieznana ręka wrzuciła przez okno granat już w rok po wojnie; deszcze nie zdołały zmyć czarnej oparzeliny zewnątrz muru. Prąd doprowadzono z Jeleniej Góry, odległej o 30 kilometrów. Wyżej, ponad wioską, u zbocza północnego wzgórza, a nad rzędami dwurodzinnych spiczastych domków krytych ceglasto-czerwoną dachówką, stoją podziurawione ściany kolejowego dworca; na zboczu nasypu — kadłub parowozu, niżej powywracane do góry osiami, potrzaskane wagony, wśród których bawią się w chowanego hałaśliwe dzieci.

Na tle nieba wznosi się niedawno ustawiony semafor; lśni świeżusieńką, białą i jasno-czerwoną farbą. Ramię jego wznosi się właśnie, otwiera przejazd. Gwizd lokomotywy, na nasyp wjeżdżają towarowe wagony. Powoli mijają semafor. Niemcy wychylają się przez szeroko otwarte drzwi. Patrzą zdziwieni na Zieloną Dolinę, która usuwa się im sprzed oczu; niejeden zaciska zęby. Transportem tym odjeżdżają do swego kraju ostatni Niemcy ze Szlifierni Szkła i Kryształów: Fritz Helmuth, dyplomowany majster, a wraz z nim pięciu innych szlifierzy.

W samym środku wioski sterczy niby poszczerbiony kieł, szczątek komina huty szkła i kryształów. Wysadziły ją w powietrze uciekające oddziały S. S. Dziś, w dwa lata po wojnie na podwórzu fabryki panuje ruch; kręcą się ludzie, czasem zajedzie ciężarówka naładowana skrzyniami. Iskrzą się w słońcu cynkowe blachy na dachach odremontowanych zabudowań. Z daleka, niby wyolbrzymione zawodzenie komara, słyszy się ciągle ostry dźwięk piłowanego szkła. Szlifiernia pracuje. Tylko tam, gdzie ongiś stała huta, kupy gruzu pokrywają się tu i ówdzie zieloną plamką trawy.

Franciszek Lubski, barczysty młody człowiek w wojskowym mundurze, z dwoma rzędami kolorowych wstążeczek na lewej piersi — stoi na szosie tuż przy bramie fabryki i osłaniając dłonią oczy od słonecznego blasku, patrzy na leniwie posuwające się wagony. W głowie jego kłębią się rozmaite myśli: że Helmuth był dobrym człowiekiem; wielbiciel Maksa Reimana, komunista..., że Szrüber już trzy razy wypraszał dla siebie przedłużenie na pobyt w Polsce. — „W zachodnich strefach głód, nie ma pracy.." — mówił ze smutkiem, potrząsając siwą głową. Gdy jednak za czwartym razem mu się nie udało, zawołał ze złością na cały głos: „Bez nas nie dacie sobie rady! Nie znacie się w ogóle na kryształach!..." Inny znowu, krępy blondynek o szerokich szczękach i płaskim nosie, Alfred König (mówią, że w czasie wojny należał do Hitlerjugend), odgrażał się: „Słono zapłacicie nam za te ziemie!... Odbierzemy z procentem!" Może, po prostu — szczeniak jeszcze. Wmówili mu, że obszar na wschód od Nysy jest rdzennie niemiecki. A on uwierzył. A może znał jednak dobrze historię tych ziem i mówiąc te słowa wiedział, że przed siedmiuset laty oni sami zagarnęli je Polsce, a po prostu był zwolennikiem panowania Niemiec nad całą Europą, nad światem... Lubski wzrusza potężnymi barami: „Cóż, faszysta, hitlerowiec i tyle..."

Wraca do fabryki.

II

Gdy Franciszek Lubski, rodem z Polesia, zdemobilizowany z 37-go pułku piechoty, przyjechał do Zielonej Doliny ze skierowaniem do pracy w Szlifierni, pierwszą osobą z jaką zawarł bliższą znajomość, był Zenon Sroka, mistrz swojego fachu, otyły jegomość z brzuszkiem i staropolskim wąsem, dotykającym czubkami nie zawsze białego, lecz sztywnego kołnierzyka. Chełpił się nierzadko, że przed wojną był jedynym w Polsce szlifierzem kryształów, zarabiającym tyle, co „sam dyrektor". A zrudziały wąs, według dowcipów krążących po jasnej hali fabrycznej miał być dopełnieniem do dyplomu majsterskiego Zenona Sroki. Pierwsze zetknięcie z tym człowiekiem pozostawiło w świadomości Lubskiego dość niemiłe wspomnienie. Przydzielony jako uczeń, stanął razu pewnego obok jego warsztatu i pilnie śledził robotę mistrza. Aż tu nagle Sroka (jeszcze wtedy mówił Lubskiemu per „ty") jak nie ryknie basem do zdumionego Franciszka: „A pójdziesz ty stąd! Dałem robotę, czy nie dałem? Masz zamieść halę i podwórze!... Ja ci dam obijać bąki i wsadzać nos gdzie nie potrzeba... Co to, przysłano cię tu, żebyś się gapił jak ludzie pracują, czy do roboty? Jazda!..." Lubski poczerwieniał wtedy, trochę ze wstydu, trochę ze złości, bo widział przecież poprzednio jak przez kilkanaście minut Sroka manewrował sobą tak, żeby plecami zasłonić warsztat przed wzrokiem ucznia w wojskowym mundurze.

Lubski poszedł do dyrektora. Wystarał się zaraz o inny przydział. Zaczął pracować z Karasiem, tęgim chłopem, który różnił się od Sroki tym, że specjalnie zostawał po pracy z Franciszkiem i uczył go trudnego zawodu szlifierza.

To, że po roku został kierownikiem produkcyjnym fabryki, oczywiście w pierwszym rzędzie zawdzięczał swojemu wybitnemu zmysłowi organizacyjnemu i zapałowi do pracy, lecz wiedział dokładnie, że na nic by się to nie zdało, gdyby nadal panował ustrój, który skazał Franciszka Lubskiego na dozgonną wegetację pośród poleskich mokradeł, na wchodzenie do chaty, opartej na czterech palach wbitych do grzęzawiska po wysokiej drabinie; na beznadziejność. Dlatego już od pierwszego miesiąca swego pobytu w Zielonej Dolinie, zapisał się do Polskiej Partii Robotniczej i pracował w niej z równą energią, jak przy warsztacie.

Juliusz Kutrzeba siedział na krześle przed stolikiem kierownika w kantorze. Nagle uleciała od niego śmiałość, patrzał w ziemię. Aż Lubski uśmiechnął się dyskretnie, tak aby młody szlifierz tego nie dostrzegł.

— No, mówcie, nijakiego wstydu tu nie ma... — powiedział łagodnie. Przed chwilą dowiedział się, że dyrektor wyjeżdża do Wrocławia, miał z nim omówić sprawę surowca; zapas wyczerpywał się a nowy transport nie nadchodził. Chciał wyjść, lecz Kutrzeba zaciekawił go swoim projektem.

Szlifierz mówił dalej:

— Zobaczcie sami! Nic tu innego się nie robi, tylko te przeklęte kółka, zygzaki, gwiazdy i gwiazdki; gwiazdy w kwadrat, w prostokąt, w trójkąt, trzy — pięcio — dziesięcio, i diabeł wreszcie wie ilu ramienne. Aż na wymioty zbiera! Nic innego, towarzyszu, się nie robi tylko to, co znaleźliśmy dwa lata temu w poniemieckich wzorach... To wstyd! Te esy-floresy...

Urwał. Był drobny i niezmiernie ruchliwy. Kości policzkowe wystawały mu jak u Chińczyka. Mógł mieć na oko nie więcej niż trzydziestkę. W szlifierni pracował niedawno. Patrzał chwilę ukradkiem na przyniesiony przez siebie arkusz z misternym rysunkiem kompotierki, widzianej z góry i bębnił palcami po tekturowym skoroszycie. Raptem niezbyt zręcznym ruchem podsunął arkusz Lubskiemu.

— No, no! Tego jeszcze nie było. — Lubski oglądał rysunek z niekłamanym zdziwieniem. Namyślał się. — Zgrabnie zrobione. No, no! Spróbujcie! Dlaczegożby nie... Widzę, że macie talent. Co to, wzory z Podhala? Aha! Piękne.

— Towarzyszu! Ja... wy wiecie, że szlifuję dopiero niecały rok. A to mało. Niepotrzebnie wysiedlili tak wcześnie Niemców — nachmurzył się. — Helmuth uczył mnie dobrze...

— A co to ma do rzeczy? — Lubski ściągnął brwi. — Jest przecież Sroka. Pracował przy tym dwadzieścia lat. A Karaś i Przybytko?

Kutrzeba westchnął znacząco i machnął ręką.

— Sroka? Ten to aby jak najwięcej forsy zagarnąć za procenty...

— No, no. Nie mówcie tak. Poradzimy jakoś. Ale spróbować możecie. Bać się nie ma czego. Ja zaczynałem nieledwie kilka miesięcy przed wami. I poszło. Najważniejsze, to śmiałość w ręku! Szkło przykładać do kamienia równo, bez drgnienia muskułów, a nawet ryzykować. Ryzyko uczy! Jasne... No i co? — Pochylił się do Kutrzeby.

Młody szlifierz skinął głową w milczeniu.

— Spróbuję — powiedział.

— To idźcie do roboty. Porozmawiam o was z dyrektorem. — Tylko... — urwał i niepewnym wzrokiem zmierzył Kutrzebę. — No nic... porozmawiam.

Gdy Kutrzeba zamknął za sobą drzwi, Lubski długo jeszcze nie wracał do swoich obliczeń. Oglądał rysunek, medytował i podziwiał świetny pomysł młodego robotnika. Postanowił udać się z rysunkiem do dyrektora. Idąc, zastanawiał się, czy Wirski zgodzi się na produkcję ludowych wzorów; słabą miał nadzieję.

III

Od kilku dni projekt Kutrzeby leżał między najprzeróżniejszymi papierami na biurku w gabinecie Wirskiego. Lubski zajął się ustalaniem norm współzawodnictwa. Z dnia na dzień, system indywidualnego premiowania okazywał coraz większe braki: wśród robotników tworzyły się zadrażnienia. Trzej przodownicy: Sroka, Karaś i Przybytko, wykwalifikowani szlifierze, o stażu co najmniej siedmiu lat pracy w swoim zawodzie, wyrabiali przeciętnie po 500 procent normy. Reszta nie dociągała nawet stu pięćdziesięciu. Byli tacy co nie potrafili, lub może nie chcieli przekroczyć pięćdziesięciu procent; byli to nowicjusze, którzy przyszli do pracy już po wysiedleniu Niemców, starych fachowców. Należało zrewidować sposób punktacji, ulepszyć albo wprowadzić nowy. Wreszcie, po usilnych poszukiwaniach, Lubski opracował nowy system. Współzawodnictwo zespołowe miało automatycznie zmusić przodowników do podciągania słabszych, a co za tym idzie, szkolenia. Złożył projekt u dyrektora i czekał. Zajął się tymczasem planem Kutrzeby i zapalił się do niego. Z entuzjazmem opowiadał robotnikom o możliwościach szkła i kryształów, przekonywał, agitował za porzuceniem starych niemieckich wzorów, lecz spotykał się najczęściej z biernym spokojem lub wręcz nieprzychylnością, co gorsza, ze strony Sroki.

Był mglisty ranek. Punktualnie o siódmej stary dozorca uderzał zwykle młotkiem w kawałek szyny, zawieszonej u bramy, a po chwili z budynku, gdzie za Niemców jeszcze mieszkał właściciel zakładu, Weber, odbudowanego już z przeznaczeniem na świetlicę i szatnię, wychodzili robotnicy, dudnili podkutymi trzewikami po bruku, mokrym jeszcze od letniego deszczyku, jaki mżył przez całą prawie noc. Jeden za drugim znikali za drzwiami hali o wysokich oknach. Lubski poszedł tam, chcąc osobiście przypilnować corannego ceremoniału wydawania półfabrykatów, gdy ujrzał nagle dozorcę, który człapał prosto ku niemu; przygarbiony, śmiesznie zginając pod sobą kolana (pamiątka z obozu w Dachau), stary najwyraźniej się śpieszył.

— Ep, ep, ep... panie kierowniku! — wołał z daleka. — Chwileczkę! — Dobiegł zdyszany i oznajmił, że dyrektor wzywa Lubskiego do gabinetu. Ale to natychmiast! Jakaś ważna sprawa. Postał kilka sekund, rozejrzał się cwaniackim wzrokiem dokoła i zniżając głos, jakby chciał wyznać wielką tajemnicę, powiedział: — Dyrektor jakiś wesoły. Pewnie to jego dobry dzień...

Stary nie omylił się. Lubski zastał Wirskiego, nucącego pod nosem skoczną melodyjkę, czego przez całe dwa lata swego urzędowania tutaj nie czynił. „Ma z pewnością specjalny powód do tego..." — przemknęło przez myśl Lubskiemu.

— Ach, to wy, kierowniku — zawołał Wirski od biurka. — Mam do was interes. A właściwie to chcę podzielić się z wami wesołą nowiną. Papierosa?

Lubski wziął „Górnika" i usiadł na krześle wskazanym przez Wirskiego. Ten podjął z biurka jakieś pisemko, podał kierownikowi, ale cofnął natychmiast z półuśmieszkiem na grubych wargach.

— Ach prawda! Wy po niemiecku nie umiecie! Więc sam wyjaśnię o co tu idzie. — Zdjął z cienkiego nosa rogowe okulary, przetarł je chusteczką, wsadził napowrót i przebiegł wzrokiem po arkuszu. Oczy jego, wyolbrzymione przez szkła, nadawały twarzy jakiś dziwny wyraz. Wysokie czoło, skłębione zwykle chmurą zmarszczek, dziś było gładkie jak łysina na środku jego wybujale dużej głowy. — Jakaś firma duńska przesyła nam zamówienie na eksport kryształów do Danii. I to poważny eksport. Chcą 50.000 kompletów różnych gatunków do końca marca 48-go roku. Oczywiście, podają tę liczbę jako minimalną, co jest nawet podkreślone. Jak przekonałem się, przed wojną handlowali oni z Weberem, bo jeszcze... — tu wskazał muskularnym palcem na tytuł pisma — ...adresują na Weber Glass und Kristallschleiferei... Zresztą zrobiłem dziś rano poszukiwania w starych niemieckich papierach w naszym archiwum i natrafiłem na ślad. Za czasów Webera ta szlifiernia eksportowała dużo do Danii. Pomyślałem więc, że byłoby hańbą dla nas, gdybyśmy nie podjęli tego od nowa. Dobrze, że tamci odezwali się. Co prawda dwa lata po wojnie. Nie wiem, czy wiedzą nawet, że Webera tu nie ma. Śmieszne, co? Ale nie o to chodzi. Bez wątpienia będziemy bić na ten eksport, tylko czy podołamy? Macie trudności z normami? Wiem, wiem... Trzeba będzie coś zrobić. Zjednoczenie naciska. Szlifiernie w Lisku i Szczytnie wyprzedziły nas w produkcji... — Wirski zaczął przewracać papiery walające się bezładnie na biurku. Oglądał każdy, przysuwając blisko do twarzy i odrzucał z powrotem. — Tyle pracy że sam nie wiem, za co się najpierw wziąć. A żaden księgowy nie zgłosił się jeszcze? Co?

— Nie. Dawałem znać nawet do Dyrekcji Przemysłu Miejscowego.

— Źle. O mam już! — Dyrektor położył przed sobą inny papier i zareplikował: — Bielczaka, Jędrycha i Kolskiego wyrzucimy na zbity łeb. Nie wyrabiają nawet sześćdziesięciu procent. Ich nam nie potrzeba. To hultaje! Przyjmiemy nowych. Będą się uczyć...

— Przepraszam — przerwał Lubski. — Jabym nie był za tym. To wina dotychczasowego systemu. Jasne... A o nowych nie tak znowu łatwo.

Wirski oburzył się.

— Wina systemu! Że nie chce się im robić? Nie posądzałem was o to... Słuchajcie! Ani Związek Zawodowy, ani Partia... to wiem, chociaż jestem bezpartyjny, nie bronią wszystkich ludzi. Bumelanci — to szkodnicy dla nas. Tych będziemy wyrzucać. Zjednoczenie żąda od nas wyjaśnień w sprawie zbyt małych premii za przekroczenie planu. Cóż im powiem? A płacimy jak należy! Jest tylko jedna rada: uzdrowić stosunki wśród załogi. Tych wyrzucimy, a przodownikom: Sroce, Karasiowi i Przybytkowi damy po... no, powiedzmy, nawet po dziesięć tysięcy dodatkowej premii. To da ludziom dużo do myślenia. Napewno zaczną się starać. Mamy tylko niecały rok do wykonania zamówienia, a i to nie wiem, czy zdążymy. Trzeba rozpocząć rozmowy z Danią. Tym zajmie się Dyrekcja Przemysłu Miejscowego, zawiadomię ich o wszystkim. A wy przygotowujcie warsztat do zwiększonej produkcji. Szkło nadejdzie lada dzień. Zaraz pojadę do Wrocławia, załatwię to...

Lubski poruszył się niespokojnie na skrzypiącym krześle.

— Dyrektorze — zaczął. — Sprawę wydajności poruszyłem już w swoim projekcie współzawodnictwa zespołowego. Myślę, że tylko takie...

— Ach, zapomniałem — znowu zaczął przewracać papiery na biurku. — O, jest! A jakże, czytałem, ale nie wiem, czy to nie rozdrażni naszych przodowników. A na nich głównie opieramy nasze istnienie. Ale jeśli uzyskacie wyniki, jakie obiecujecie.. Zobaczcie! Można ten system wprowadzić, powiedzmy, na tydzień. Obliczymy... zadecydujemy. Chcecie coś jeszcze? Bo nie mam czasu. Muszę jechać do Dyrekcji w sprawie tego eksportu, no i jakiejś siły biurowej.

— Chwileczkę, poczekajcie... — Lubski nie zdradzał najmniejszej chęci wstania. Tej sprawy nie można załatwić tak... od ręki. Ja nie byłbym za wypłaceniem tej specjalnej premii, ani też za wymówieniem. Sroka wyrobił w tym miesiącu już 600 procent! Premia jego stanowi już tyle, co trzymiesięczna pensja. To dosyć. Ludzie i tak skarżą się na niesprawiedliwość. Na przykład, nie dalej jak wczoraj, Antoniewiczowa...

Wirski podniósł się z fotela.

— Ludziom zawsze jest trudno dogodzić — przerwał ze zniecierpliwieniem.— Niech pracują! W tym rzecz!... — Nagle pochylił się i wyciągnął z szufladki rysunek Kutrzeby. — A to możecie zabrać. Zupełnie nie na czasie. Owszem, owszem, kiedyś, za rok, może za dwa, ale nie teraz... Produkować musimy szybko, sprawnie. Ludzie są już wciągnięci w stare wzory, a tego będą się uczyć miesiącami. I w ogóle, nie wiem, jak sami zapatrujecie się na tego rodzaju motywy. Ale ja... no, tak... nowatorstwo!... Teraz dużo się o tym mówi i pisze w gazetach. Ale wiecie! Ta sprawa nie jest taka prosta, jak wam się wydaje. W branży szlifierskiej nie jestem nowicjuszem. Zdaje mi się, że nic z tego nie będzie. Może i macie słuszność, że te kwadraciki, kółka, kreski i kreseczki są bezmyślne... — Wirski rozłożył ramiona i ubrał usta w pobłażliwy grymas, z jakim przystępuje się do upartych dzieci. — ...Ale czy Weber nie eksportował do Danii właśnie tych kwadracików, kółek, kresek i kreseczek!?... — Sądził, że przekonał Lubskiego, bo z wypogodzonym już czołem zaczął się ubierać do drogi. Kierownik produkcyjny wstał, lecz zachowując zupełny spokój, na jaki w tych wypadkach stać tylko człowieka upartego, rzucił jakby od niechcenia:

— Jasne... Jesteście, dyrektorze, za rutyniarstwem. — Położył nacisk na ostatnim słowie.

Wirski zaśmiał się, ale jakoś niepewnie. Kilka sekund minęło, zanim zdobył się na odpowiedź. Uśmiech na jego grubych wargach gasł potrosze, aż zanikł zupełnie.

— Eksport, kierownіku. Sprawa pilna. Robota nie może być przyhamowana. — Pomyślał chwilę, patrząc z ukosa na zabierającego się do wyjścia Lubskiego i dodał z rezygnacją: — Zresztą poradzę się w tej sprawie Sroki, żebyście nie myśleli, że ja mówię tak sobie, bez przekonania To stary majster i z nie jednej szlifierki chleb jadał... Zobaczymy! A tymczasem muszę jechać do Dyrekcji, pokazać list. Niech zaakceptują!

Lubski opuszczał gabinet zły i przygnębiony. Nastrój jego pogorszył się jeszcze tego dnia, gdy Kutrzeba przyniósł mu do kantorku wykonaną już kompotierkę. Była oszlifowana niepoprawnie; w przeciwieństwie do rysunku, na szkle powstały niepotrzebne luki, gdzie niegdzie cięcia były krzywe, brak symetrii w drobniejszych motywach. Lubski przekonał się, że ten młody człowiek miał trochę racji: nie potrafi jeszcze pracować samodzielnie. Ale w zespole... Postanowił natychmiast formować nowe, zespołowe brygady. Kompotierkę Kutrzeby oddał Sroce. Dopiero w dyskusji z majstrem zauważył wiele błędów technicznych w samym założeniu rysunku, z których należało wybrnąć. Stary, chociaż wyśmiał się z pomysłu przeniesienia motywów ludowych na szkło, ale zleconą robotę przyjął.

„Rutyniarz, bo rutyniarz" — pomyślał Lubski odzyskując humor. — „Ale fachowiec pierwszorzędny. Nie ma co mówić... Jasne!?

IV

W podłużnej, jasnej hali stały trzy rzędy szlifierek. Przy każdym warsztacie pochylał się robotnik i niby ster, dzierżył w obu dłoniach wklęsły krążek szkła. Szum trzech silników przeplatały przeraźliwie cienkie piski piłowanego kryształu. Lubski, z rękoma założonymi do tyłu, spacerował od warsztatu do warsztatu, śledził wydajność i rozmyślał. Nowy system dał wyniki dopiero w drugim dniu. Najwięcej kłopotu sprawiało wyznaczenie poszczególnych czynności dla każdego członka zespołu. Wiadomo, że największej precyzji wymaga pierwsze cięcie i wykończenie. A fachowców miał tylko trzech. Wreszcie poradził sobie. Z początkowo pomyślanych dwóch zespołów, sklecił trzy z tym, że każdy przedownik zobowiązany był do wycięcia ramowych linii, a potem — wykończenia. Cieszył się z tego rozwiązania. — „Teraz nie będzie mowy, żeby Sroka nie podciągał swoich ludzi. I Bielczaka też..." W Karasiu i Przybytce miał sojuszników. Sroka, przechodząc z pierwszego stanowiska na ostatnie, lub na odwrot, łypał na kierownika małymi oczkami, które tonęły gdzieś w zmarszczkach suchej i drobnej twarzy.

Podczas przerwy obiadowej obliczono wykończone sztuki. Okazało się, że przypadło około dwudziestu pięciu na zespół: razem siedemdziesiąt pięć. Przed tym, w tym samym czasie zrobiono nie więcej niż czterdzieści. Lubski zadzierał dumnie głowę i zagadywał:

— No i co? Nie lepiej? Patrzcie! Bielczak zrobił akurat tyle, co każdy inny w jego zespole... I Jędrucha i Kolski...

— Racja — wołał stojący przy swoim warsztacie Karaś. — Gdyby opuścili się, inni staliby bezczynni... Przecie jasne. — Był sekretarzem Koła PPR.

— Masz łeb... — krzyknął ktoś inny.

Pomywaczka Antoniewiczowa kiwała głową i mruczała:

— To ja rozumiem. Wszystkim na równi, sprawiedliwie...

Lubski tymczasem poszedł do dyrektora uzgodnić regulamin premiowania. Po powrocie stanął na środku hali i ogłosił:

— Dotychczasowa stawka za każdy procent powyżej normy — mówił — jaka zostanie dziś jeszcze ostatecznie ustalona, będzie pomnożona przez sześć, to znaczy przez ilość ludzi w zespole. Premia — wypłacona zespołami i równo podzielona między członków. Zrozumiałe, czy mam wytłumaczyć jaśniej?

— Rozumiemy, mów dalej... Wszystko jasne — posypały się okrzyki.

— Co do majstrów — ciągnął — za podwójną czynność otrzymają po siedem tysięcy specjalnego dodatku miesięcznie.

— Racja. Należy im się...

— Jednostką współzawodniczącą jest brygada. Zrozumiano? A nie każdy indywidualnie, jak to było dotychczas.

Za oknem rozbrzmiał tępy dźwięk gongu: przerwa obiadowa skończona. Ktoś włączył silnik. Ludzie rozchodzili się między warsztatami i zajmowali stanowiska. Lubski miał jeszcze coś do załatwienia w kantorku i wyszedł. W korytarzu wpadł na niego zaaferowany Kutrzeba i cicho zameldował:

— Wiecie co, towarzyszu! Niedobrze jest. Sroka był dziś u dyrektora, może z godzinę czasu. Uważajcie, bo on jest zły na was, jak jasny gwint, za te zespoły. To utrąci mu przecież z połowę premii.

— No to i co? Cóż on mi zrobi?

— No wiecie... mój rysunek.

Lubski zaśmiał się serdecznie.

— Nie bójcie się. Sroka sam go ulepszy. Jasne...

Co do tego nie miał wątpliwości: Sroka oszlifuje kompotierkę. Ale nie był pewien, czy dojdzie do produkcji. Po pierwsze: Sroka mógł rzeczywiście wyśmiać projekt u Wirskiego; po drugie: w tym wypadku zadecyduje kwestia eksportu. I to będzie głównym atutem w ręku dyrektora. Kazał Kutrzebie powrócić do pracy, a sam zamknął się w swoim pokoiku. Potrzebował spokoju, żeby pomyśleć trochę. Jedną sprawę wygrał. Teraz druga... Ustawione rzędem na półce kryształowe serwisy, pochodzące jeszcze z niemieckich czasów, po raz pierwszy zaczęły go straszyć. Pozdejmował je nagle i umieścił w szafie. „Co za bezmyślne czerepy!" Około trzeciej wyszedł na halę. Nie widział dotąd takiego tempa pracy: uwalane w ceglastym mule półfabrykaty wędrowały z rąk do rąk. Przeszedł obok rzędu przygarbionych robotników i dotarł do końca hali. Sroka oglądał pod światło wykończoną wazę.

(Dokończenie w następnym numerze)

Wodewil Warszawski

Teatr „Syrena" — wystawiając nową farsę muzyczną Zdzisława Gozdawy i Wacława Stępnia p.t. „Wodewil Warszawski" — uczynił tym razem wyraźny krok naprzód w stosunku do poprzednich swych pozycji repertuarowych, które budziły tak wiele uzasadnionych zastrzeżeń. Biorąc pod uwagę wieloletnią i jak najściślejszą współpracę obu autorów z tym teatrem, uznać należy taki krok naprzód za zespołowe osiągnięcie „Syreny" na drodze, wiodącej ku wypracowaniu typu widowiska, które — wypierając z zajmowanego miejsca zarówno tradycjonalną operetkę czy wodewil, jak i szablonowy, elitarny kabaret — dawałoby szerokiej i społecznie nowej widowni uśmiech jej bliski, politycznie zrozumiały i potrzebny, uśmiech prawdziwie współczesny.

Krytykując nieraz niektóre dotychczasowe pozycje, prezentowane przez „Syrenę" — zdawaliśmy sobie sprawę, że droga tego teatru była i jest jeszcze nadal wyjątkowo trudna. Tradycje wodewilu, farsy muzycznej, czy kabaretu aktualności — to tradycje najbardziej uwikłane w sieci gustów mieszczańskich i elitarnych. Wiadomo dla kogo przeznaczony bywał śmiech w długiej i dopiero na naszych oczach załamującej się epoce kultury burżuazyjnej — i z jakiej wywodził się postawy klasowej i politycznej w sztuce. Aby tworzyć dzisiaj odpowiednie w naszej nowej sytuacji społecznej widowiska na miejsce operetki, wodewilu czy kabaretu—nie wystarcza nowy temat i nowa postawa polityczna, ale i sama forma widowiska musi być znaleziona na nowo. Trzeba wytworzyć zupełnie nowy typ farsy muzycznej, typ, który nie byłby już obcy lecz bliski potrzebom nowej widowni, który ukazywałby na scenie humor, będący jej humorem.

Przełamywanie na dzisiejszej scenie tradycyjnych form i tematów humoru mieszczańskiego bywa z powodzeniem dokonywane poprzez widowiska, których humor oparty jest na odświeżonych wątkach ludowych. Doskonałym typem takiego wesołego widowiska ludowego jest chociażby „Nesterko" Wolskiego, grany niedawno w ramach Festiwalu sztuk radzieckich na scenie Ludowego Teatru Muzycznego. Ale Teatr Syrena — szukający przede wszystkim tematyki aktualnej — próbuje innej drogi. Drogi codziennego, potocznego humoru, publicystycznie związanego z aktualnością. Droga ta — do tej pory — nie dawała poważniejszych rezultatów, gdyż tradycje operetki i farsy mieszczańskiej w dalszym ciągu ciążyły na poszczególnych widowiskach i na doborze repertuaru w sposób dominujący. Grany obecnie „Wodewil Warszawski" jest właściwie pierwszym widocznym krokiem naprzód w kierunku nowego, politycznie aktualnego typu farsy muzycznej.

„Wodewil warszawski" Zdzisława Gozdawy i Wacława Stępnia. Od lewej: Jankowski, Osto-Suski, Komorowski, Zadroński, Sadurski, Wiśniewski. Reżyserował — K. Pawłowski, dekoracje M. Stępień

I tu nie obeszło się bez starych naleciałości. Reżyser widowiska — Kazimierz Pawłowski — i dekorator Marian Stępień — nie zawsze potrafili oderwać się od szablonów najgorszego typu, jak to stwierdzić się dało w ostatnim obrazie (duety dwuch szczęśliwych par), który przypominał niestety zbyt żywo numery rewiowe z przedwojennego „Morskiego Oka". Był to pouczający przykład, że nie wystarcza pokazać w tle Trasę W—Z, aby uwspółcześnić obraz i sytuację. W zademonstrowanym ujęciu zamiast Trasy mogłoby być jezioro z łabędziami lub cokolwiek innego. Trzeba szukać nowej formy, nowego ujęcia, trzeba radykalnie i bez żalu zerwać z mieszczańską szmirą dawnych teatrzyków rewiowych.

W wielu innych obrazach szablony te przełamano, pokazano nam sceny w świeży i bezpośredni sposób związane z bieżącym życiem i jego problemami, nie tylko poprzez sam tekst, ale i poprzez formę sceniczną. Wprowadzono humor rzeczywiście nowy, humor — że się tak wyrazimy — konstruktywny, humor politycznie „bojowy". Ośmieszeni zostali reprezentanci reakcyjności mieszczańskiej, ośmieszony został bezduszny biurokratyzm, a na tym tle tym mocniej i naturalniej zagrały pozytywne postaci ze środowiska robotniczego. Dzisiejsze nasze problemy pracy i jej celów wydobyte tu zostały z całą ich atrakcyjnością, z atrakcyjnością tak prosto i szczerze pokazaną, że na pewno nikt się nie dziwił postępkom dwuch bohaterek całej intrygi, które rzuciły opiekę ich mieszczańskiej cioci.

Stało się naturalną konsekwencją tej atrakcyjności, że Hela (doskonale zagrana przez Barbarę Fijewską) zakochała się w Felku — murarzu i racjonalizatorze (zagranym przez Wacława Jankowskiego), a Zosia (Irena Malkiewicz) w Inżynierze (Igor Śmiałowski). Znakomicie swą rolę Cioci Madzi zagrała Helena Buczyńska. Ale i inne role postawione zostały dobrze i naturalnie, w szczególności postaci robotników — co w poważnym stopniu zadecydowało o wartości całego widowiska.

Można by oczywiście wskazać na rozmaite jeszcze (oprócz omówionej już sceny ostatniej) niedociągnięcia i sprawy do przedyskutowania. Na przykład zachowanie się Felka w domu Cioci Madzi razi swoim nadmiernym skrępowaniem. Dopiero później uzasadnia się ono skromnością charakteru Felka. A to pierwsze zetknięcie się robotnika z mieszczańską rodziną stwarza inne, fałszywe i nie zamierzone sugestie. Mimo tych niedociągnięć jednak — całość widowiska oceniamy stanowczo pozytywnie. Jest na pewno przełamaniem dotychczasowych błędów repertuaru, jest udaną próbą dogonienia biegnącego naprzód, codziennego życia.

Juliusz Żuławski

„Przyjaciele" Uspieńskiego w Teatrze Małym

„Przyjaciele", grana obecnie w Państwowym Teatrze Małym w Warszawie sztuka Andrzeja Uspieńskiego, współczesnego dramaturga radzieckiego, mówi o tak zwanym „wiecznym temacie": o miłości. Jeżeli już ma być mowa o „wiecznym temacie" i o wszelkich innych „wiecznościach" literackich, to przypomnijmy sobie aż Heraklita, który powiedział tak: „Do tej samej rzeki wstępujemy i nie wstępujemy". Owszem, płyną nieustannie poprzez historię literatury światowej pewne tematy, ale gdy decydujemy się wejść do którejś z tych rzek czy któregoś z tych strumieni, przeszłość już sobie spokojnie i burzliwie odpłynęła, a nadpłynęły nowe wody o innym — jeśli wolno snuć dalej to porównanie — chemicznym składzie fal. Ta sama rzeka jest już inna, ta sama rzeka nie jest już tą samą rzeką. Tak wygląda żartobliwie wyłożona dialektyka postępu i zmiany treści starych zjawisk literackich, podporządkowanych nowym formom życia.

Spotykamy się z tym naocznie w wymienionej sztuce Uspieńskiego. Rzecz dzieje się po wojnie. W Związku Radzieckim wszystko wróciło do normalnego biegu społecznego, czyli do wytężonej pracy. Dwaj młodzi inżynierowie, Wołoszyn i Sabirow, Rosjanin i Uzbek, którzy wzajemnie ocalili sobie życie podczas walk frontowych i na wojnie wypróbowali swą przyjaźń, pracują wspólnie — i to z wielkim powodzeniem — nad konstrukcją nowych modeli samolotów, które by umożliwiły błyskawiczną komunikację z najdalszymi punktami kraju. W tych warunkach nierozerwalność przyjaźni obydwu inżynierów jest w jak najmniejszym stopniu ich sprawą osobistą. Chodzi tu przede wszystkim o niezakłócony tok ich działalności naukowej, mającej olbrzymie znaczenie ogólne, z czego zdają sobie sprawę i obydwaj przyjaciele i ich otoczenie.

Przyjaciele są kawalerami, nic więc dziwnego, że na ich horyzoncie rychło pojawiają się kobiety: Aleksandra Kurnikowa; lotniczka podbiegunowa i Wiera Piotrowska, aktorka któregoś z teatrów moskiewskich. Obydwie kochają Wołoszyna, ale tylko Wiera, była uczestniczka walk frontowych i partyzanckich jest przedmiotem miłości obydwu przyjaciół. Autor rozwiązuje ten poczwórny konflikt odruchową rezygnacją osób dramatu z ich wąskich, egoistycznych interesów, których nie można połączyć z interesami społecznymi i które wcześniej czy później obróciłyby się przeciwko działającym osobom, skoro obracają się przeciwko ich pozytywnej pracy dla społeczeństwa. Nie ma tu przy tym tradycyjnego patosu nieopanowanych namiętności, jest natomiast świadomość wagi społecznej każdego postępku. Ta świadomość działa wprzód nim rozognią się namiętności. To jest chyba jedna z najlepszych metod, prowadzących do poszanowania człowieka przez człowieka.

Zasadniczą koncepcję sztuki, będącej w swych głównych zarysach komedią z dnem moralnym i rozwijającej się od słabszego początku ku coraz to lepszym scenom dalszych aktów, na ogół trafnie uchwyciła reżyseria Ireny Ładosiówny, jeżeli odtrącimy szereg scen skeczowo przeszarżowanych. Te sceny dotyczą przede wszystkim wdzięcznej i bogatej treściowo roli Aleksandry Kurnikowej, owej lotniczki podbiegunowej, będącej jak gdyby wesołym wcieleniem Antygony naszych dni, która już ongi „współkochać przyszła, a nie współnienawidzić". Rolę tę należałoby koniecznie pozbawić efektów „dzikuski", włażącej podkutymi butami na kanapę w przyzwoitym domu, chociaż straszą w nim jeszcze po kątach resztki mieszczańskich bibelotów.

Wykonawcami cieszących się dużym powodzeniem „Przyjaciół" Uspieńskiego byli następujący aktorzy: Tadeusz Kubalski (Wołoszyn), Bronisław Orlicz (Sabirow), Wanda Jarszewska (Raisa Orłowa, stara aktorka, gospodyni młodych inżynierów), Janina Pollakówna (Wiera), Janina Martini (Aleksandra). Scenografia Ryszarda Radwańskiego.

W anonimowym przekładzie należałoby poprawić kilka usterek, zmieniając chociażby „koło polarne" na „koło podbiegunowe", jak oddawna przywykliśmy mówić.

Zdecydowanie smutną rzeczą jest program teatralny tego widowiska. To jeszcze głupstwo, że w tym programie czytamy zdania brzmiące wręcz nie po polsku. O wiele gorzej, że olbrzymie zdobycze społeczne, które przyniósł ze sobą socjalizm w zakresie stosunku do kobiety, przedstawione są w formie jakiejś tragikomicznie „naukowej" kombinacji. Aby pokazać, że konieczne są środki zaradcze, muszę pozwolić sobie na niewątpliwie wątpliwą przyjemność zacytowania następującego kawałka:

„Wielkiej pracy dokonała myśl i praktyka socjalistyczna w dziele wyzwolenia miłości z oków mieszczańskich. Od szyderczych i demaskujących analiz Marksa i Engelsa do Konstytucji Stalinowskiej, od określenia roli kobiety w małżeństwie burżuazyjnym jako „pierwszej służącej", do ustaw zabezpieczających trwałość rodziny, równorzędność obojga małżonków i prawa dzieci. Rozkładające się małżeństwo zdobyło się w tym samym czasie jedynie na opiewanie „tragicznego demonizmu miłości", oraz „kobiety — wiecznej zagadki", tudzież na traktowanie morderstwa z zazdrości jako okoliczności łagodzącej".

Autor tych zdań nie zasługuje na uwzględnienie żadnej okoliczności łagodzącej.

Adolf Sowiński

„Przyjaciele" Andrzeja Uspieńskiego. Na zdjęciu: B. Orlicz w roli inżyniera konstruktora, J. Martini w roli lotniczki i T. Kubalski w roli inżyniera konstruktora. Reżyserowała Irena Ładosiówna, dekoracje Ryszarda Radwańskiego

Wśród książek

Józef Kjellgren. Ludzie przy moście. Tytuł oryginału: „Människor kring en bro". Przełożyła z języka szwedzkiego dr. Apolonia Załuska. („Dziennik pracy" tłumaczył inż. Feliks Tomczak) — Warszawa, „Czytelnik", 1949 — str. 257 i 3 nl.

Powieść nieznanego bodajże u nas dotychczas szwedzkiego autora dotyczy okresu lat trzydziestych bieżącego stulecia i stanowi interesujące studium społeczne o zespole robotniczym, zatrudnionym podówczas przy budowie wielkiego mostu w porcie sztokholmskim.

Kjellgren zna doskonale środowisko o którym pisze, zna warunki pracy i byt powszedni ludzi z tej gromady, bliskie są dlań i zrozumiałe ich troski, radości i nadzieje. Realistycznie potraktowany przez Kjellgrena obraz życia stoczniowców ze Sztokholmu, ślusarzy, spawaczy, tokarzy, kowali itp., odsłania czytelnikowi wiele prawdy o życiu robotników w Szwecji, obraz, różniący się znacznie od obiegowych pojęć i sądów.

Dobrobyt ludzi z powieści Kjellgrena jest pozorny i nietrwały, mimo że ci robotnicy są niemal bez wyjątku fachowcami o wysokich kwalifikacjach zawodowych. Można żyć jako tako, dopóki jest codzienna praca i zarobek, można sobie nawet kupić jakąś skromną motorówkę lub miniaturowy domek na przedmieściu. Lecz gdy przyjdzie choroba, nieszczęśliwy wypadek, starość, ten kruchy i wątpliwy dostatek przeobraża się naraz w piekło na ziemi. Zresztą i sama możność pracy, prawo do niej, jest również czymś niepewnym i zawodnym. Jasno i wyraźnie demonstruje to fabuła powieści Kjellgrena: po wybudowaniu wspaniałego mostu, kolektyw robotniczy zostaje zwolniony przez dyrekcję przedsiębiorstwa i powiększa zastępy bezrobotnych, a nadomiar złego wszyscy ci robotnicy zostają dosłownie na bruku, gdyż baraki, w których dotychczas mieszkali, mają być w szybkim tempie rozebrane, zgodnie z planem przebudowy tej dzielnicy.

Autor powieści z dużą umiejętnością i trafnością psychologiczną charakteryzuje i indywidualizuje przedstawicieli zespołu „ludzi przy moście". A tych postaci powieściowych jest bardzo wiele; są tu starzy, młodzi i najmłodsi, mężczyźni, kobiety i dzieci, obfita galeria ludzka o najrozmaitszych cechach i właściwościach jednostkowych. Zaś jedną z najciekawszych, choć może nie w pełni pokazanych postaci jest młody robotnik-komunista, Knat Eld, którego można by nazwać iskrą buntu i oporu w popiołach szarej, zrezygnowanej egzystencji mieszkańców robotniczych baraków.

Knut Eld wszystkie chwile wolne od pracy poświęca nauce, studiuje Marksa i Lenina, jest świadom krzywd społecznych, rozumie potworności ustroju, w którym człowiek pracy jest tylko siłą roboczą, eksploatowaną w mniej lub więcej wyrafinowany sposób przez kapitalistów. Eld wie, że z tym ustrojem trzeba i można walczyć, innymi jednak sposobami, niż czynią to oportunistyczni, porośli w sadło, prowodyrzy związkowi i polityczni. „Dopóki nie zdobędziemy się na odwagę — mówi Eld — by rzucić wszystko na szalę, zaryzykować wszystko dla dobra przyszłych pokoleń — dopóty nie może być mowy o zbudowaniu przyszłego społeczeństwa... Jesteśmy robotnikami, z krwi i kości robotnikami. Gdy przyjdzie ta rewolucja ,do której nas czas i rozwój wypadków powoli prowadzą, wówczas jedno tylko musimy mieć na uwadze: konsekwentnie iść własną drogą".

Kilkanaście lat temu, gdy Kjellgren pisał swą powieść, tacy jak Eld byli w Szwecji raczej osamotnieni, ich słowa i argumenty nie łatwo przebijały mur zobojętnienia i duchowego zastoju deprawowanych przez socjal-demokratycznych przywódców mas robotniczych. Dziś — wiele się od owych czasów zmieniło: szwedzka Partia Komunistyczna jest organizacją zwartą, aktywną i bojową, jest poważnym czynnikiem politycznym w ruchu robotniczym, który z historycznych doświadczeń lat ostatnich umiał wyciągnąć niejedną pożyteczną naukę.

Dla urealnienia swej powieści i podkreślenia jej autentyzmu, Kjellgren zastosował oryginalny chwyt. Oto każdy rozdział, malujący w sposób barwny i sugestywny dolę i niedolę „ludzi przy moście", kończy się suchym, protokólarnym fragmentem „Dziennika pracy", zawierającym sumę „anonimowego" (jeśli tak powiedzieć można) wysiłku i znoju ludzi, którzy ten wspaniały most — w ciągu roku — wybudowali. Tu dopiero ocenić można dystans pomiędzy korzyścią społeczną, jaką to wielkie dzieło ich rąk przynosi, a znikomością rekompensaty, uzyskanej przez nich wzamian za ciężki trud i towarzyszące mu przykrości i niebezpieczeństwa zawodowe. Taka dysproporcja jest charakterystyczną cechą ustroju, w którym pieniądz jedynie rządzi i decyduje o losach mas pracujących.

Powieść Kjellgrena zasługuje na to, by ją poznano i poza granicami ojczyzny autora. Tym bardziej, że — jeśli chodzi o Polskę — nowsza literatura szwedzka jest prawie nieznana. Polski przykład „Ludzi przy moście", zarówno w części literackiej, jak technicznej, poprawny i staranny.

Bolesław Dudziński

W OCZACH ZACHODU

CZCZE SŁOWA

Mrs. Eleanor Roosevelt, wdowa po wielkim Prezydencie, uchodzi w Ameryce i poza Ameryką za bezkompromisową bojowniczkę o prawa Człowieka i Obywatela i za szczerego obrońcę uciśnionych i prześladowanych. Znaczną część swojej światowej sławy zawdzięcza ona powojennej działalności na terenie ONZ, gdzie Waszyngton przydzielił jej role czołowego eksperta amerykańskiego od zagadnień społeczno-humanitarnych. (Inne bardziej konkretne sprawy powierza się raczej zawodowym dyplomatom bądź byłym bankierom).

Specjalizując się w świętych prawach jednostki i występując w ich obronie na forum ONZ niezliczoną ilość razy, Mrs. Roosevelt — stwierdzić należy — ogranicza się raczej do kwestii teoretycznych. Tak się jakoś niezwykle złożyło, że nigdy dotąd nie miała okazji wypowiedzieć się np. w — wydawałoby się — najważniejszej i najbardziej grożącej wszystkim prawom wszystkich ludzi i obywateli sprawie użycia broni atomowej i innych broni masowego zniszczenia. Jasne stąd, że nie znalazła także okazji, aby zareagować na wydarzenia takie jak masakrowanie cywilnej ludności miast chińskich przez produkowane w jej kraju samoloty bombowe Czang Kaj Szeka, nie mówiąc już o takich „drobiazgach" jak wieloletnia rzeź Vietnamczyków, Malajów czy też greckich demokratów. W kwestiach tych wdowa po wielkim Prezydencie milczała, milczy i milczeć prawdopodobnie będzie nadal...

O tym, jak bardzo jednostronna i wąska jest definicja praw ludzkich i obywatelskich czołowej humanitarystki amerykańskiej, zaświadczyć może pewne wydarzenie — jakie miało na terenie ONZ właśnie miejsce niedawno. Jest ono dowodem, że prawa owe nietylko nie dotyczą Chińczyków, Vietnamczyków i Greków, ale także pewnych narodów tzw. zachodniej półkuli. Oto do USA zjechał niejaki Senior Gonzales Videla. Według zgodnej opinii wszystkich uczciwych ludzi Senior Videla jest najbardziej cynicznym gwałcicielem elementarnych praw ludzkich i obywatelskich. W jego rodzinnym kraju dano mu po prostu przydomek Wielkiego Rzeźnika. Wybrany on został prezydentem Chile przed czterema laty głosami lewicowej koalicji, ściślej mówiąc głosami chilijskich chłopów i robotników. Pablo Neruda, przypomniał niedawno epizod z kampanii wyborczej Videli w górniczym miasteczku na południu Chile — Lota. Dzisiejszy Wielki Rzeźnik przemawiał wówczas do tłumu robotników, ofiar wyzysku amerykańskich korporacji, obiecując im podwyżkę głodowych płac, budowę państwowych kolonii mieszkaniowych i nacjonalizacje kopalń. Kiedy w tłumie zbierać poczęto drobne datki na koszty kampanii wyborczej Videli, ludowy kandydat na prezydenta zawołał z emfazą: „Towarzysze, jeśli zdradzę was i waszą sprawę, postawcie mnie przed plutonem egzekucyjnym, abym zginął śmiercią zdrajców". Kiedy w parę miesięcy potem górnicy Lota zastrajkowali, wzywając swego prezydenta na pomoc przeciw głodowi i wyzyskowi, odpowiedział batalionami wojska i policji, bagnetami i karabinami maszynowymi, którymi złamano strajk. Uczestnicy wiecu przedwyborczego, ich kobiety i dzieci tysiącami powędrowali towarowymi wagonami do obozów na antarktycznych pustkowiach południowego Chile. Odpłata Seniora Videli górnikom Lota za głosy i groszaki wyborcze, była tylko początkiem prezydenckiej kariery Wielkiego Rzeźnika. W ciągu roku po wyborach Chile stało się krajem wojującego faszyzmu. Likwidacji uległa cała lewicowa prasa, zdziesiątkowano przywództwo związków zawodowych, zapełniono więzienia studentami, robotnikami i uchodźcami z faszystowskiej Hiszpanii, zaproszonymi przez poprzedni rząd chilijski. Chile stało się południowo-amerykańskim odpowiednikiem Hiszpanii Francisco Franco, synonimem nędzy, głodu i terroru.

Senior Videla, alias Wielki Rzeźnik, podczas wizyty w New Yorku zawitał na parę godzin do Lake Success, siedziby Narodów Zjednoczonych. (Resztę czasu — dni parę — gościli go właściciele kopalni w jego kraju, nowojorscy potentaci z Anaconda Co. i innych korporacji). Trafił właśnie na obrady Komisji dla Praw Człowieka, której przewodniczy wdowa po wielkim Prezydencie USA. Wizyta miała wg oficjalnego komunikatu przebieg następujący: Mrs. Roosevelt przedstawiła Prezydenta Komisji, wyrażając satysfakcję z faktu, że Komisja dla Praw Człowieka gości tak wybitną osobistość i tak wielkiego demokratę. Po czym prezydent Videla wygłosił krótkie przemówienie, dziękując w nim swej przedmówczyni i Komisji „w imieniu własnym i narodu" za skuteczną działalność w obronie podstawowych wolności ludzkich. „Mój rząd — oświadczył Wielki Rzeźnik — nasz parlament i naród Chile wierzą głęboko w zasady braterstwa ludzkości, które stały się podstawą Powszechnej Deklaracji Praw Ludzkich. Będziemy zawsze gotowi do współpracy nad obroną tych praw..." Senior Videla zebrał porcje należnych oklasków (specjalnie żywo bił brawo inny obrońca praw ludzkich,delegat Kuomintangu), wymieniono ukłony w nastroju miłym i podniosłym, po czym dostojnik odjechał na kolejny bankiet z bankierami, a Komisja pod przewodnictwem Mrs. Roosevelt zabrała się do uchwalania dalszych praw ludzkich i obywatelskich...

Marks powiedział kiedyś, że hipokryzja świata kapitalistycznego pozostaje w stosunku wprost proporcjonalnym do tempa jego moralnego rozkładu **Ego.**

TYDZIEŃ KULTURALNY

KONKURS NA REPORTAŻ Z ŻYCIA ŁÓDZKICH ZAKŁADÓW PRACY

Wydział Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego w Łodzi ogłosił konkurs, na reportaż związany z życiem łódzkich zakładów pracy.

Tematyka reportażu dotyczyć winna współzawodnictwa lub racjonalizatorstwa na terenie zakładu pracy, działalności ekip łączności ze wsią, pracy odnoszącej się do rozwoju fabryk łódzkich i związanej z tym walki klasowej. Konkurs przewiduje również nagrody za wspomnienia pierwszomajowe, za najlepszą sylwetkę lub życiorys własny przodownika pracy lub racjonalizatora, za utwór prozą „Najpiękniejszy dzień mojej fabryki", oraz za najlepszy wiersz 1-szo majowy względnie poemat o Łodzi.

Termin nadsyłania prac 1 sierpień rb. Za najlepsze prace przewidziane są nagrody od 20.000 do 150.000 zł.

„NIEMCY" KRUCZKOWSKIEGO W WYKONANIU ZESPOŁU HUTY „ZABRZE"

W sali Domu Kultury huty Zabrze odbyła się premiera sztuki L. Kruczkowskiego „Niemcy", w wykonaniu zespołu teatralnego świetlicy hutniczej. Było to pierwsze w Polsce przedstawienie „Niemców" w wykonaniu zespołu świetlicowego.

WYSTAWA MALARSTWA ROSYJSKIEGO W ŁODZI

W galerii Państwowego Muzeum Sztuki w Łodzi min. S. Dybowski dokonał otwarcia wystawy malarstwa rosyjskiego. Wystawa zawiera obrazy pochodzące ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie oraz Łódzkiego Muzeum Sztuki.

Malarstwo rosyjskie reprezentują dzieła malarzy rosyjskich, zaczynając od Andrzeja Rublewa, malarza ikon z początków XV wieku, poprzez malarstwo XVIII i XIX stulecia, aż do przedstawicieli współczesnego malarstwa radzieckiego, reprezentowanego przez Sokołowa, Skale, Jefanowa, Wasiljewa i in.

Obok dzieł oryginalnych znajdujemy na wystawie reprodukcje, zaopatrzone w komentarze, dotyczące kierunków sztuki oraz informacje o twórczości poszczególnych malarzy.

OTWARCIE DOMU KULTURY NA ŻOLIBORZU

Robotnicy ze Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego wykończyli przedterminowo w ramach Czynu Pierwszomajowego i oddali do użytku mieszkańcom osiedla WSM na Żoliborzu okazały gmach Domu Kultury, wzniesiony z dotacji Państwa i ze składek społeczeństwa Żoliborza.

W dniu otwarcia, Dom Kultury na Żoliborzu otrzymał od Prezydenta R.P. Bolesława Bieruta, założyciela Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, bibliotekę złożoną z 1000 tomów.

KORESPONDENCJA

W Pile i gdzieindziej

Jesteśmy uczniami Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w stolicy owego „mordobijskiego powiatu", o którym napisał pokaźny artykuł jeden z redaktorów Waszego poczytnego pisma w pierwszym jego numerze. Z radością przeczytaliśmy ten artykuł, numer bowiem w którym się znajdował, można było nabyć we wszystkich kioskach gazetowych w Pile w dowolnej ilości. Niestety, następne egzemplarze „Nowej Kultury" nie doszły już do „stacji Chandra Unyńska",

Czemuż to do „miejscowości tak zaniedbanej kulturalnie jak Piła" nie dochodzi tygodnik, który jest obrazem naszego rozwoju kulturalnego i który informuje o wszelkich ważniejszych wydarzeniach kulturalnych w Polsce i w świecie?

Czyżby Redakcja czy Administracja sądziła, że mieszkaniec Piły jest do tego stopnia ciemny, że taki tygodnik jak „Nowa Kultura" nie odpowiada jego poziomowi umysłowemu, a wszelkie informacje z dziedziny życia kulturalnego są mu niepotrzebne?

A może nakład „Nowej Kultury" jest tak mały, że wystarcza jedynie dla mieszkańców większych miejscowości?

Gdyby tak było, prosimy o jak najszybsze jego zwiększenie, bowiem proszę wiedzieć, że „Nowa Kultura" jest naszym podręcznikiem na niektórych lekcjach języka polskiego, z którego wszyscy chcemy korzystać. Pomijanie naszego miasta w zaopatrywaniu go w tak poważny i pożyteczny tygodnik społeczno-literacki jakim jest „Nowa Kultura", jest dla nas krzywdzące.

Uczniowie kl. IXa Państwowej Szkoły Ogólnokształcącej w Pile. Następuje 28 podpisów.

Piła, 13 maja 1950 r.

Publikujemy list uczniów z Piły z dużym smutkiem nie tylko dlatego, że niedochodzenie „Nowej Kultury" do miasta tkiego jak Piła uważamy po prostu za rzecz skandaliczną, ale także dlatego, że niestety skargi na zły kolportaż naszego pisma, na niedochodzenie jego numerów do wielu miejscowości, do instytucji, które pismo zaprenumerowały, otrzymujemy od kilku miesięcy stale.

Polecamy to uwadze „Ruchu" — wyrażając nadzieję, że skargi na zły kolportaż naszego pisma nie będą się powtarzać.

REDAKCJA

O manowcach elitaryzmu i drogach kultury

(Dokończenie ze str. 2)

Konfrontacja zaś notatek z wypowiedziami ich autorów przekonała przede wszystkim, że duch werbalizmu, nabijanie głów frazesami bez pokrycia, bez docierania do treści, jest jeszcze i dziś nagminną chorobą nauczania w U. L.

W notatkach o literaturze w Gościeradowie padają nazwiska Pascala, Kanta, Schellinga, Fichtego, Hegla, Szekspira, Richardsona i dziesiątki innych mądrych słów i nazwisk. Pytam słuchaczy co o tym wiedzą. W odpowiedzi słyszymy: metafizyk, idealista, dialektyk w tonie oskarżenia jak się mówi: oszust, łajdak, nicpoń. Przy bliższej rozmowie ze słuchaczami okazuje się, że za tymi sformułowaniami nic się nie kryje — są pustymi dźwiękami. Mimo to było coś wzruszającego w staranności notatek, gdzie niemal w każdym zdaniu trafiało się parę błędów ortograficznych i jeszcze więcej mądrych i niezrozumiałych słów i nazwisk. Mimowoli nasuwało się skojarzenie tych notatek z niedawno odbytym , b. ciekawym pięciodniowym zjazdem polonistów w Warszawie o sporej ilości marksistowskich referatów i ożywionej dyskusji. Marksistowskie rozprawy o literaturze, niestety, mają zasięg jakże jeszcze elitarny, nie docierają do naszych nauczycieli na wsi niestety uczących młodzież wg. starych podręczników i prac.

Ale wróćmy do słuchaczy. Rozmawialiśmy o literaturze i o podżegaczach wojennych, o spółdzielniach produkcyjnych i o naszym planie sześcioletnim, o walce klasowej i przodownikach pracy. Wypowiedzi były różne. Ale mimo braków nauczania czuło się, że jest to już nowa, obudzona młodzież o różnorodnych zainteresowaniach, żarliwa, chciwa wiedzy i czynu, zdolna do samodzielnego myślenia. Jak tylko się odbiegało od szkolnego tematu, słowa nabierały barw rzucano dużo własnych, ciekawych spostrzeżeń i uwag. Dziewczyna z U. L. w Łęknie zdumiała nas wszystkich gdy jednym tchem wyliczyła przeszło dziesięć poważnych pozycji literatury polskiej i światowej (ostatnio przeczytanych) dorzucając do każdej książki zastanawiające własne uwagi. Chłopak znów ciekawie opowiadał o trudnościach i oporach jakie napotyka zakładanie spółdzielni produkcyjnej w jego rodzinnej wiosce. A nade wszystko zdumiał nas i oszołomił żywiołowy talent krasomówczy, pełen humoru, cięty, obrazowy język, odwaga w myśleniu, bojowość, widoczny autorytet i zdolność kierowania ludźmi — starościny z UL w Łęknie, 21-letniej Zofii Duljasz, córki fornala z Lubelszczyzny. W 14 roku życia Zofia dopiero nauczyła się czytać, żadnej szkoły nie skończyła (stąd nie bez trudu i kombinatorstwa dostała się do UL) a dziś jest redaktorem gazetki ściennej, autorką wesołych inscenizacji i montaży, wystawianych w UL. „Jak coś mi się pisze, to musi być wesołe i muszę sobie pokpić — inaczej nie wychodzi" — powiada Zofia. Słuchając tej dziewczyny, jej soczystego języka, własnych, jędrnych powiedzonek, żałowałam, że tego nie słyszą nasi autorzy sztuk z życia wsi, w których nieraz bohaterzy mówią jednakowym, bezbarwnym językiem.

Rozmawiając z Zofią Duljasz — myślałam również, że trzeba szybciej rozwalić zapory, wydeptać drogi i ścieżki, które by zbliżyły twórców kultury do takich jak Zofia i do tych ofiarnych nauczycieli i wychowawców, którzy na różnych szkołach i kursach uczą dziś młodzież robotniczą i chłopską i powinni znaleźć większą pomoc i poparcie w swej pionierskiej, zaszczytnej pracy.

Jadwiga Siekierska

„CZYTELNIK"
KLUB ODRODZENIA
LOUIS ARAGON
KOMUNIŚCI
STR. 244 ZŁ. 320

TYDZIEŃ MUZYCZNY

Nieco dziwaczna mieszanina czyli Dobrzyński, Różycki, Beethoven i Strawiński

Program XXXVI koncertu symfonicznego Państwowej Filharmonii w Warszawie (19 bm., powtórzonego jako niedzielny poranek dnia 21 bm.) stanowił dziwaczną mieszaninę epok i stylów. Odgrzebana z pyłu zapomnienia uwertura *Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego* (1807 — 1867), kolegi Chopina z klasy kompozytorskiej Elsnera w Konserwatorium Warszawskim — współczesny, jeśli chodzi o datę powstania, a neoromantyczny w zawartości II koncert fortepianowy tegorocznego jubilata *Ludomira Różyckiego* — pierwsza, jeszcze całkowicie klasyczna symfonia *Beethovena* i wreszcie fragment baletu „Petruszka" *Igora Strawińskiego* — oto spis tego skomplikowanego menu muzycznego.

Jeden koncert symfoniczny na tydzień (niedzielne poranki są z reguły mechanicznym powtórzeniem „piątków") — to oczywiście zbyt mało, aby można było przeprowadzić jakąś konsekwentną linię repertuarową — linię, która by uwzględniała wielopłaszczyznowe potrzeby dzisiejszego słuchacza, stojącego na rozmaitych szczeblach znajomości muzyki. Dlatego też programy koncertów Filharmonii starające się pogodzić i konieczność stopniowego wprowadzania nowego słuchacza w świat muzyki i dania mu historycznego przekroju jej przemian i zapoznania go szczególnie z muzyką polską, pokazania w ciągu każdego sezonu najwspanialszych pomników twórczości muzycznej ,oraz — ważne zwłaszcza dla fachowców — zaprezentowanie najnowszych osiągnięć współczesnych kompozytorów — programy te z natury rzeczy muszą być nieco eklektyczne. Wszystkie te trudności rozumiemy, jednakże zacytowane wyżej zestawienie świadczy raczej o chaotycznej przypadkowości, niż jest wynikiem jakiegoś przemyślenia.

Na wystawienie swej opery „Monbar, czyli Filibustierowie" czekał Dobrzyński aż 23 lata. Jest to fakt niewątpliwie przykry, nawet zawstydzający, gdy się weźmie pod uwagę, że warszawska opera wystawiała w tym okresie dzieła z pewnością słabsze. Wiąże się to z walką prowadzoną w owym czasie o utorowanie drogi na sceny polskie polskiej operze, z walką, w której tyle trudów i przeciwności znosił Moniuszko. Jednakże Moniuszko, domagając się przez 10 lat wystawienia swej „Halki" walczył o operę szczerze narodową i o muzykę prawdziwie piękną. Co zaś do Dobrzyńskiego — czcigodny i zasłużony mistrz Elsner, który tak nieomylnie dostrzegł geniusz Chopina, stanowczo zbyt pochopnie dopisał przy nazwisku autora „Filibustierów" opinię: „zdolność niepospolita". Wspomniana uwertura — to zbiór błahych pomysłów o ciężarze gatunkowym „muzyki ogródkowej" i to w nienajlepszym wydaniu. Nie ma w niej przy tym dosłownie nic polskiego, ani nic co by wskazywało na jakieś własne oblicze twórcze; jest natomiast wierne odbicie włoskiego stylu operowego epoki Rossini'ego, stylu, który wszechwładnie wówczas panował w Europie. Na plus można zapisać kilka interesujących jak na tę epokę pomysłów z zakresu instrumentacji (o ile oczywiście wykonano utwór w autentycznej — a nie przerobionej wersji orkiestrowej — program koncertu niestety nic o tym nie wspomina). Jednym słowem utwór Dobrzyńskiego nie stanowi wartościowej pozycji nawet w ubogiej polskiej literaturze symfonicznej pierwszej połowy ubiegłego stulecia i nie ma powodu, aby był częściej wykonywany.

Pozycja artystyczna Ludomira Różyckiego — to przykład stanu rzeczy, będącego u nas niemal tradycją, która — niestety — nie zupełnie jeszcze zanikła. To przykład artysty posiadającego od dziesiątków lat ogromną wziętość i rozgłos za granicą, a wyraźnie niedocenianego w kraju. Wystarczy wspomnieć, że tak wybitne dzieło jak „Eros i Psyche" — obok „Hagith" i „Króla Rogera" Szymanowskiego — bez wątpienia najlepsza opera polska od czasów Moniuszki obiegła z niezwykłym powodzeniem niemal wszystkie sceny operowe niemieckie, zanim doczekała się wystawienia w Polsce. Stan taki jest niesłuszny i dla Różyckiego wysoce krzywdzący. Twórczość operowa tego świetnego kompozytora ma dla rozwoju muzyki polskiej doniosłe znaczenie, szereg zaś poematów symfonicznych, jak „Stańczyk", „Anhelli", „Bolesław Śmiały" zajmują — obok dzieł Karłowicza poważną pozycję. Mamy nadzieję, że w roku bieżącym, w roku jubileuszu pięćdziesięciolecia pracy kompozytorskiej Różyckiego, stan ten ulegnie zmianie. Że „Eros i Psyche" doczeka się nowego — tym razem polskiego wydania (poprzednie, niemieckie wydanie spaliło się doszczętnie w Berlinie w czasie działań wojennych) i że opera ta zostanie wznowiona na scenach polskich.

Różycki to kompozytor, którego talent najmocniej objawia się w dziełach scenicznych i w utworach muzyki programowej. Posiada on wyjątkowy dar ilustrowanie i uplastyczniania muzyką najdrobniejszych szczegółów tekstu, akcji scenicznej, czy zgóry założonej koncepcji narracyjnej. Wszystko to podbudowane jest głęboką i szczerą uczuciowością, z której wyrasta jego świat muzyczny. Forma rodzi się u niego z własnej, intensywnie przeżywanej emocji i niechętnie wtłacza się w istniejące schematy konstrukcyjne. Dlatego, pisząc koncert fortepianowy odbiega całkowicie od struktury tradycyjnej; i próbuje mu nadać formę swoistą. Buduje go z dwóch części: szeroko, z rozmachem zarysowanego Moderato i Allegro, utrzymanego w rytmie i charakterze ludowego krakowiaka. Inna rzecz, że koncert fortepianowy to forma, mająca swoje własne, zupełnie nie przypadkowe prawa i proporcje konstrukcyjne — odmienne, niż dzieła operowe, czy programowe. Dlatego przeszczepianie elementów muzyki programowej do tej najbardziej, obok symfonii, klasycznej i zwartej formy — z reguły zawodzi. Improwizatorski charakter, rapsodyczność, sięganie do efektów stosowanych raczej dla operowego recitativa nadaje pierwszej części koncertu Różyckiego cechy jakiejś przypadkowości i zaciera piękno zawartych w niej pomysłów muzycznych. Część druga natomiast, mimo pewnej zdawkowości tematów wykazuje niepospolite mistrzostwo w wykorzystaniu motywów o ludowym charakterze, ogromny temperament i barwność faktury orkiestrowej i fortepianowej.

Błyskotliwą wirtuozowsko partię fortepianową wykonał *Józef Smidowicz*. Interpretacja ta daleka była od tego, by wzbudzić w nas zachwyt. Cechowała ją ciężkość, sztywność, powiedzielibyśmy nawet — pewna brutalność i ostrość. Nienajlepiej spisywała się również orkiestra pod dyrekcją *Olgierda Straszyńskiego*. Straszyński dał natomiast bardzo trafną i dobrą interpretację I Symfonii (C-dur) Beethovena.

Ta urocza symfonia — podobnie jak i następna, D-dur — należy jeszcze do stylu Haydna i Mozarta, stylu z którego Beethoven wyrósł i poza który wybiegł później daleko naprzód. Zaledwie możemy się w niej domyślać przyszłego twórcy „Eroiki", czy V Symfonii — klimat, który w niej panuje, to klimat klasyczny, pozbawiony beethovenowej dramatyczności, pogodny, zrównoważony, dostojny, nacechowany dążeniem do bezpośredniego piękna w oparciu o równowagę treści i formy, o żelazną dyscyplinę rzemiosła muzycznego.

W twórczości Igora Strawińskiego najwyraźnie może odbijają się wzloty i upadki, osiągnięcia i załamania rozwoju muzyki ostatniej doby. Toteż nie ma chyba dziś kompozytora, który by przez krótszy lub dłuższy czas, w mniejszym lub większym stopniu nie ulegał wpływom Strawińskiego. Najsilniejszy bodaj wpływ wywierał Strawiński w pierwszym „rosyjskim" okresie swej twórczości. Bogactwo jego środków orkiestralnych, jędrność brzmienia, rewolucyjność harmoniki, a w pierwszym rzędzie bezkompromisowy zwrot ku ludowości — wszystko to stało się momentem przełomowym — w muzyce europejskiej. Ludowość Strawińskiego daleka jest od chęci „wygładzenia" szorstkiej, nieraz brutalnej, ale zawsze krwistej i pełnej wyrazu tematyki ludowej. Nie stara się on jej wtłoczyć w szablony „oficjalnego" języka muzyki artystycznej — przeciwnie, stara się zawsze podkreślić jej oryginalność i samorodność. Jeśliby szukać analogii takiego podejścia w przeszłości — nasuwa się jedynie Mussorgski i jego „Borys Godunow"; jeśli szukać wśród kompozytorów współczesnych, którzy przyjęli taką samą postawę wobec artystycznego przetworzenia muzyki ludowej — można ich wyliczyć sporo i to najwybitniejszych z Szymanowskim i Bartókiem na czele.

Tętniący życiem, sugestywnością rytmów, olśniewającą barwnością, plastyką i siłą wyrazu balet „Petruszka", którego fragment usłyszeliśmy na zakończenie koncertu — to szczytowe osiągnięcia „rosyjskiego" okresu Strawińskiego.

✦

Państw. Org. Imprez Artystycznych „Artos" organizuje co pewien czas t.zw. „Koncerty Młodych Talentów". Na tej godnej uznania, bardzo potrzebnej i celowej imprezie mają okazję zaprodukować się publicznie młodzi, wyróżniający się zdolnościami artyści rozpoczynający swą działalność, lub kończący studia w szkołach muzycznych. Ostatnio (dnia 16 bm.) Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Łodzi, jedna z najaktywniejszych i najlepiej postawionych placówek pedagogicznych w Polsce zaprezentowała w sali „Ogniska" kilka swych wybitnie utalentowanych wychowanek. Były to: *Irena Bator* i *Irena Iwańkowicz* (śpiew), oraz *Alfreda Działoszyńska* (fortepian). Wraz z nimi wystąpiła młoda pianistka *Lidia Grychtorówna*. Akompaniował prof. *Jerzy Lefeld*.

Wawrzyniec Żuławski

PTAŚNIK JAN
MIASTA I MIESZCZAŃSTWO W DAWNEJ POLSCE
Wyd. II
str. 438 zł. 1100.—

SMOLEŃSKI WŁADYSŁAW
PRZEWRÓT UMYSŁOWY W POLSCE WIEKU XVIII
Wyd. III
str. 382 zł. 670.—

ŚWIĘTOCHOWSKI ALEKSANDER
HISTORIA CHŁOPÓW POLSKICH
Wyd. nowe. Tom I.
str. 441 zł. 600.—

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

WYDAWNICTWO
J. MORTKOWICZ
Kraków, ul. Szczepańska 5
POLECA NA DZIEŃ DZIECKA
książkę Hanny
Mortkowicz Olczakowej:
JANUSZ KORCZAK
str. 246. cena zł. 560.
do nabycia we wszystkich księgarniach

mała kronika

Wieczory pod Lipą

Mieszkanie kronikarza. Fantastycznie nieforemny pokój, zawalony książkami i pismami. Wilgotno; po kątach snują się karaluchy sennie jak biurokraci. W rogu koło łazienki — drewniane paki z księgami. Sterta tłumaczeń do recenzji. Pod oknem — rękopisy do recenzji. Na parapecie — część maszynopisu kronikarza, na który od stycznia czeka PIW. Koło maszyny do pisania początek felietonu do kolejnego tygodnika. W koszu — plik zaproszeń na posiedzenia i konferencje. Za oknem — czekają na kronikarza tematy do wielkiej powieści.

KRONIKARZ: Nie, nie, nie! Ja muszę pisać książkę. Jak ja wyglądam wobec wydawnictwa? Człowieka szarpią na lewo i na prawo jak zeschły zezwłok, a potem dra się, że się nie rozwija! Niech się pan spróbuje rozwijać! Widzi pan ten stos książek? Kto to przeczyta? Zrecenzuje? Może pan? Kto napisze za mnie moją książkę? Może pański dyrektor? Nigdzie nie pojadę! Moje ostatnie słowo! Dla mnie pięć dni — to samobójstwo! Ja na pieniądze nie lecę. Dajcie mi choć tydzień bez wyjazdów i konferencji!

PRZEDSTAWICIEL Państwowej Organizacji Imprez Artystycznych „Artos" (gruby, zażywny jegomość o dziecinnym spojrzeniu plaskając tłustymi rączkami): Panie Tadeuszu, obywatelu pisarzu, towarzyszu Borowski! Błagam pana na kolanach, niech pan wyjedzie! Już plakaty rozwiesiliśmy w pięciu najpiękniejszych miastach Polski! Już ruszyliśmy związki zawodowe, szkoły, organizacje społeczne! Czyż może pan je zawieść z czystym sumieniem? Naszych robotników i chłopów? Jakaż to będzie propaganda dla literatury, gdy ludzie ujrzą, że ich pisarze lekceważą? Przecież to państwo pana wysyła! Pokłada w panu zaufanie i wiarę! Przecież wszystko, czym pan jest, zawdzięcza pan pracy tych ludzi, którym teraz chce pan odmówić zasłużonej rozrywki!

KRONIKARZ kiwa głową i w milczeniu pakuje walizkę. Wyjeżdża wraz ze starszymi i sławnymi kolegami: JANEM BRZECHWĄ, ST. RYSZARDEM DOBROWOLSKIM, RYSZARDEM MATUSZEWSKIM. Mają dać wieczory autorskie, zwane „Wieczorami pod Lipą" w pięciu miastach: Radomiu, Kielcach, Częstochowie, Sosnowcu i Gliwicach. Po kilku dniach, przeżywszy nieopisane przygody siedzą wszyscy czterej w Gospodzie Spółdzielczej w Katowicach. Zajadają rzodkiewieczki i popijają piwkiem. Czekają na pociąg do Warszawy.

KRONIKARZ: Ach, wy biurokraci wilgotni! Ach, wy bywalcy! Ach, wy organizatorzy! Ach, wy znawcy! Ach, wy działacze! To się bierze od łebka po czterysta złotych za bilet na wieczór autorski? Żeby przyszła sama inicjatywa prywatna? A dla świata pracy w drodze łuski dwieście złotych? Kiedy „Martwe dusze" kosztują w oprawie 250? Ach, wy martwe dusze! Cudnie klasowo dobieracie publiczność! Zeszło się tego w Radomiu skromne trzysta osób. Myślicie, że to przyjemność czytać swoje utwory dla przedwojennych mieszczan? Kiedy już płacicie pisarzom za czytanie i zmarnowany czas, to dajcie im słuchaczy. Nie było kim zapełnić sali w Kielcach? Lepiej gadać z pustym krzesełkiem niż z robotnikiem w świetlicy? Z dziećmi w szkołach? Że w szkołach trwają egzaminy i że w ogóle pogoda zbyt piękna? Toście o tym w Warszawie nie wiedzieli, dopiero w Katowicach? Że się pani z „Artosu" pokłóciła z dyrektorem teatru i nie wzięła jego sali? O, niech to diabli!

ST. RYSZARD DOBROWOLSKI: (macza usta w piwie i grzmi na całą salę): Wiecie, jak wygląda życie nocne w Częstochowie? Życie nocne — to my!!

RYSZARD MATUSZEWSKI: Czułem się w tej Częstochowie jak Josefina Beker. (Poruszenie na sali wśród górników i kolejarzy oraz inteligencji pracującej. Kelner roznosi Starowin w butelkach od lemoniady, ponieważ jest dzień bezalkoholowy).

JAN BRZECHWA: A ja — jak Jan Brzechwa. (Poruszenie wśród jego kolegów).

KRONIKARZ: Głupota i cynizm urządzać wieczory o dziesiątej, a zaczynać o jedenastej w nocy. Pewnie, sala była zajęta na film, ale czyż godzi się słuchaczy przetrzymywać godzinę w hallu? Przecież następnego dnia ludzie idą do pracy. Kto się wyśpi? Spekulant i „inicjatywa". Kto zechce słuchać wierszy o dwunastej w nocy? Robotnik? Uczeń? Dobrowolski wyraził im w naszym imieniu wdzięczność za cierpliwe czekanie, skróciliśmy wieczór nadzwyczajnie, ale czy to naprawdę nie lipa? Naturalnie, nie wpadło nikomu do głowy, że można pisarzy wykorzystać w ciągu dnia w szkołach czy w świetlicach, może w pobliskich wsiach. Że pisarze to nie obiad, który się raz dziennie konsumuje. Ale „Artos" ich kupił, „Artos" z nikim się nie dzieli, „Artos" z nikim się nie porozumiewa. A są Komitety Miejskie, są związki zawodowe, jest ZMP. „Artos" woli widać mieszczan za czterysta złotych. A potem ładną statystykę.

RYSZARD MATUSZEWSKI: Ale żeby nie umieć w ośrodku przemysłowym Gliwice zebrać ludzi dla pisarzy, którzy mają bądź co bądź coś do powiedzenia robotnikom i studentom — to wygląda na więcej niż na niedołęstwo. Pewnie znowu biurokrata urządził nas. Jak ten z Częstochowy, co się skarżył, że do wieczorów dokłada własne pieniądze. Filantrop, który utrzymuje państwo.

JAN BRZECHWA: Bo to są tajniki biurokracji. „Artos" oszczędza na kolei, bierze dla nas zniżki, nie daje nam diet (macha ręką na diety), a potem wyrzuca w błoto czterdzieści tysięcy za wieczór, którego nie było. A czterech pisarzy marnuje sobie dzień pracy. Przecież za połowę tych pieniędzy zgodzilibyśmy się wcale nie wyjeżdżać z Warszawy. Po co więc dodatkowe koszty?

KRONIKARZ: Najgłupiej, że zwodzą pisarzy. Kiedy pisarz jedzie do spółdzielni, do szkoły, do fabryki, to wie, do kogo jedzie, że się nauczy czegoś, że czasu nie zmarnuje. A tu? Dużo słów, dużo pieniędzy, sążniste sprawozdania. Prawdziwe „wieczory pod lipą". I co oni myślą? Że wsadzimy buzię w kubeł? Że będziemy milczeć? Pewnie, znamy tematy ważniejsze: walkę o pokój, o produkcję, o nową sztukę, o wychowanie człowieka. Ale starczy nam sił i na obronę pokoju i na walkę z biurokratami. Będziemy ich bić tam, gdzie spotkamy. Za przykładem korespondentów robotniczych. Jazda, obywatele zza biurek! Przygotować sale dla pisarzy! Dawajcie nam słuchaczy surowych, ale uważnych! Potrafimy się dogadać z robotnikami, z chłopami, z młodzieżą. Ale jeśli zechcecie nam przeszkadzać — to samiście sobie winni.

Następnego dnia w Warszawie. Mieszkanie kronikarza. Książki, paki, wilgoć, stosy listów, maszynopis dla PIW-u, nowa plika rękopisów.

KRONIKARZ: (rozmyśla): Eh, czy warto tym się zajmować? Pisać kronikę? Tylko człowiek sobie nowych wrogów narobi... Wyprą się wszystkiego w żywe oczy, pochwalą się, że to pionierska robota, szepną, że gdy drzewa rąbią, to wiory lecą, zrobią buzię w ciup, wypną niewinnie brzuszek, udadzą, że niby nigdy nic... (Podnosi wzrok z nad maszyny i wpatruje się ponuro w wilgotną, senną ścianę). **Tadeusz Borowski**

Komentarze

Majakowski w Chinach

Nazwisko Majakowskiego dawno przekroczyło granice Związku Radzieckiego, stało się hasłem i sztandarem całej postępowej ludzkości. Majakowski, który w utworach swoich „rozmawiał z ludzkością", wiele uwagi poświęcił również Chinom. Słynny jest jego wiersz, napisany w 1924 r. „Precz z rękami od Chin", albo utwór z roku 1927 p. t. „Najlepszy wiersz", albo z ostatnich przed śmiercią napisanych wierszy — poświęcona Chinom „Nota do Chin".

Jeden z pierwszych chińskich tłumaczy Majakowskiego poeta Go MO-ŻE tak mówi o piewcy Rewolucji Październikowej:

Poeto
rewolucji,
Wielki synu
klasy atakującej,
Chińczycy
dawno znają
imię twoje!
Twój głos
jak burza
dobiega do nas
przez Średnią Azję.
Żadne góry,
pustynie,
oceany
Nie mogą powstrzymać Ciebie.
Ty —
czołgu,
samolocie,
ty — głosicielu
prawdy.
Twój czas — wieczność.

Wpływ Majakowskiego na poezję chińską ostatniej doby jest znaczny. Poeta radziecki stał się mistrzem dla wielu poetów rewolucyjnych Chin, tych wszystkich, którzy wierzą, że „pieśń i wiersz — to bomba i sztandar".

saj.

Szeląg i literatura

Brak nam wciąż utworów literackich, któreby wyraziły w sposób godny swego tematu doniosłość wielkich przemian, jakich widownią jest nasz kraj. Zdają sobie z tego dobrze sprawę wszyscy walczący o przyszłe oblicze naszej literatury. Zdaje sobie z tego już na szczęście także sprawę większość pisarzy, choć nie każdy umie temu dać nie deklaratywny lecz pełny, artystyczny wyraz. Trudności towarzyszące przejściu od pozytywnych deklaracyj do skończonych, gotowych dzieł nowej, socjalistycznej literatury rozumieją również dobrze ludzie kierujący naszą polityką kulturalną, żądający od naszej krytyki wyraźnej ideologicznie i surowej oceny ukazujących się utworów, ale zdecydowanie przeciwni szerzeniu szkodliwej atmosfery niechętnego lekceważenia wysiłków pisarzy, choćby wysiłki te były na razie nieudane, wadliwe.

Niestety nie rozumie tego widać autor słusznie napiętnowanej niedawno przez Związek Literatów niewybrednej napaści na jednego ze współczesnych pisarzy, Jan Szeląg, który w swym felietonie w „Szpilkach" (z dnia 7.V.1950), w dość nieprzemyślny sposób podważa sens akcji wyjazdowej pisarzy w Tygodniu Oświaty, Książki i Prasy, pisząc:

„Nasza rewolucja kulturalna wyprzedza prywatne rewolucje, niedokonane jeszcze albo ślamazarne naszych pisarzy.

Przyznam się, że z niepokojem czytam, że stu pisarzy w Tygodniu będzie czytało swoje utwory czytelnikom. Jakie? Które? Dlaczego nie znamy i nie podziwiamy w książkach tych utworów stu pisarzy? Czy Breza czytać będzie o Tobitce, a Rudnicki o Pałeczce?".

Szkoda, że Szeląg nie zaznajomił się z treścią dyskusji literatów w sprawie akcji wyjazdowej w Tygodniu Oświaty, Książki i Prasy, względnie z artykułem niżej podpisanego, w tej sprawie w n-rze 6 „Nowej Kultury". Może zorientowałby się, że pisarze biorąc masowy udział w tej akcji nie mieli zamiaru ograniczyć się do czytania własnych utworów. Może zrozumiałby, że te wyjazdy pisarzy mają właśnie dla sprawy powstawania utworów, o które Szeląg się upomina, niemałe znaczenie. Wreszcie może pojąłby i to, że malkotenckie głędzenie i dyskredytowanie ogółu pisarzy (wyjątek robi Szeląg tylko dla Broniewskiego) w opinii publicznej na łamach „Szpilek" jest działalnością lekkomyślną i szkodliwą.

Zbyt wiele mamy jeszcze w naszej literaturze przykładów nieudolności, bezradności, a nawet fałszu, by można było przejść obojętnie obok tych zjawisk. Nie wolno nam zapominać, że nasz czytelnik, nasz robotnik, nasz chłop, nasza młodzież, nasze dzieci mają prawo do dobrej książki, do dobrej literatury. Nie wolno nam zapominać, że nasz czytelnik, nasz robotnik, nasz chłop, nasza młodzież, nasze dzieci mają prawo do dobrej książki, do dobrej literatury. Nie wolno nam zapominać, że nasz czytelnik, nasz robotnik, nasz chłop, nasza młodzież, nasze dzieci mają prawo do dobrej książki, do dobrej literatury.

Zlikwidowawszy natrętne kożuchy, poeta obiecuje:

„I skonam błogo, pełen dumy
Z twórczej, bojowej mej satyry!"

Rozczulony monachomachią Minkiewicza przeciw kożuchowi i ujęty jego autoironią, przyrzekam mu wystawić następujący nagrobek:

„Tu spoczywa Minkiewicz. Twardo, [więc narzeka.
Sławo! Otul go miękko jako kożuch [z mleka!"

tbr

Zdrowe cielę

Poldzio Tyrmand pisuje regularnie o sporcie. Niech pisuje. Sport — to zdrowie. Gorzej, kiedy w zdrowym ciele rośnie przez sport zdrowe cielę. Wtedy często słychać nieartykułowe porykiwania. Ostatnio z ilustrowanych łąk „Stolicy" (działka nr 19), Poldzio daje o sobie znak: „Więcej światła... Zdanie to wypowiedział na łożu śmierci ktoś bardzo mądry. Galileusz albo Giordano Bruno, czy może ktoś inny — w tej chwili nie pamiętam dokładnie kto. Natomiast przekonany jestem, że ten, kto to wypowiedział, miał na myśli Warszawę. Nadszedł bowiem czas, kiedy pomyśleć należy o oświetleniu Warszawy, godnym wielkiej, rosnącej Stolicy".

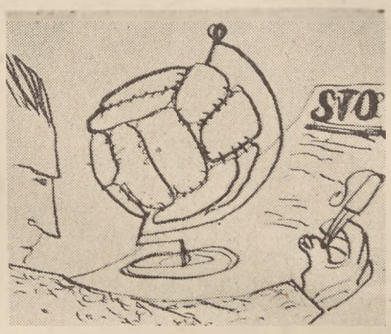

Poldzio ma specyficzny, szatański humorek. Przypomina pana Piecyka, który wykładał historię Polski po pijanemu. Nie jest pewny, czy okrzyk „Więcej światła!" wzniósł Galileusz, kiedy go oślepiano czy Giordano Bruno, gdy go palono na stosie. Ale wie, że obaj myśleli o latarniach Warszawy. Natomiast ja słyszałem, że było inaczej. To tajny radca Goethe na łożu śmierci zażądał więcej światła, wiedząc zresztą, że pragnie rzeczy prawie że nieosiągalnej. Myślał bowiem o Poldziu.

tb

Picasso i jego odkrywcy

Francuski znawca malarstwa Daniel Henry Kahnweiler umie uczenie rozprawiać o twórczości Pablo Picassa. Ilekroć jednak mowa o przekonaniach politycznych twórcy „Guernici", Kahnweiler popada w rozterkę i zdenerwowanie. To, że Picasso jest komunistą, jest dlań rzeczą niepojętą i szokującą. Ale nasz mędrzec znalazł w końcu wytłumaczenie tego faktu, po prostu „odkrył", że Picasso nie zna się na polityce i nie wie co się wkoło niego dzieje. Pisząc artykuł „Picasso jako człowiek i artysta", Kahnweiler stwierdził: „Prawdopodobnie Picasso, żyjący podobnie jak wielu artystów całkowicie w sferze własnej twórczości, posiada bardzo słabe pojęcie o wielu sprawach dzisiejszej polityki światowej". Autor tych słów jest niemal o krok od twierdzenia, że Picasso został otumaniony przez komunistów, którzy wykorzystali jego nieświadomość i naiwność w dziedzinie polityki.

Jeśliby Kahnweiler czytał dokładniej wypowiedzi Picassa, albo gdyby posiadał odrobinę dobrej woli, nie ominął by zapewne następujących słów znakomitego malarza:

„Jak sądzicie, czym jest właściwie artysta? Głupcem, który ma tylko oczy, gdy jest malarzem, tylko uszy, jeśli jest muzykiem, lub tylko lirę, gdy jest poetą? Przeciwnie. Jest on zawsze istotą upolitycznioną, zawsze czujną wobec wzruszających serce, palących i cudownych zdarzeń tego świata, na podobieństwo których kształtuje się on w każdym szczególe. Jakżeż może oddzielić się od innych ludzi, zamknąć się w wieży obojętności i zrezygnować z wszelkiej różnorodności życia, w którą obfituje rzeczywistość? Nie, nie maluje się obrazów, aby nimi zdobić pokoje. Są one narzędziem ofensywnej wojny w obronie przeciw wrogowi".

Okazuje się, że Picasso nie jest tak naiwny, jakim chciałby go widzieć burżuazyjny „znawca" sztuki Kahnweiler.

r. k.

POD PRĄD

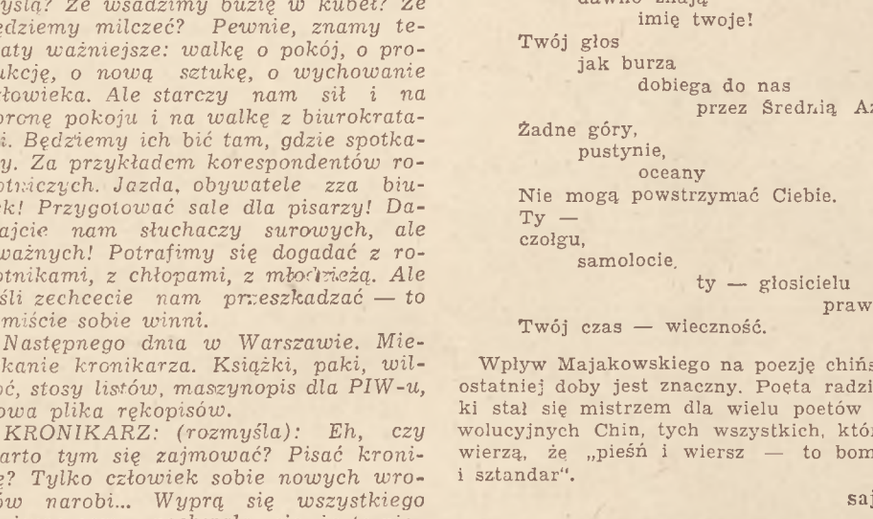

rys. Zb. Tymoszewski

Zb. Mitzner w recenzji o Pałeczce Ad. Rudnickiego (Rzeczpospolita nr 139 z 21.V.1950) słusznie przeciwstawia się niesprawiedliwemu i generalizującemu oskarżeniu pisarzy, jakie stanowi jego zdaniem ów utwór. Radzimy Szelągowi zastanowić się nad tym co pisze Mitzner i wyciągnąć z tego wnioski.

r. m.

ZABAWKI

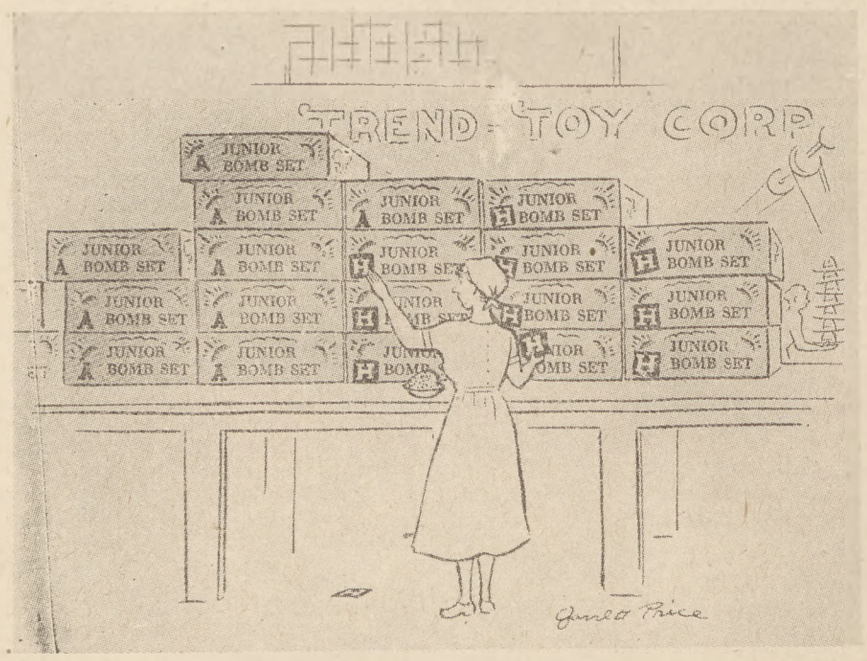

Powyższa rycina ukazała się w satyryczno-literackim tygodniku amerykańskim „The New Yorker" z dnia 22 kwietnia rb. „New Yorker", jak to już zaznaczyliśmy w nr 6 „Nowej Kultury", nie jest pismem socjalistycznym i nie reprezentuje żadnego odłamu amerykańskiej lewicy politycznej. Ale, jak łatwo się przekonać z tego satyrycznego obrazka, nawet w Ameryce część społeczeństwa zaczyna sobie zdawać sprawę z groźnej atomowej psychozy, jaka ogarnęła zaoceaniczną „demokrację".

Rycina przedstawia fragment sklepu z zabawkami. Na ladzie stoją pudełka z napisem, który da się przetłumaczyć „Komplet bombowy dla chłopca". Z polecenia szefa, panna sklepowa zakleja dawną etykietę „A" (Atom-Bomb) nową — „H" (Hydrogen — Bomb) tj. bomba wodorowa. Poprzednia bomba (jako zabawka dla chłopców) widocznie już „nie idzie", preparuje się więc dla lepszego zbytu coś aktualniejszego — „up to date" (ostatni krzyk mody).

Amerykanie sami demaskują obłęd, w jaki popadli.

— „Przestańcie dzieci, bo się źle bawicie"...

jt

Kożuch

„Daj mi, o Muzo, lotność pióra,
Natchnienia udziel mi twojego
W następującej sprawie, która
Wymaga cięcia cesarskiego".

Cóż to za sprawa, której świetny satyryk Janusz Minkiewicz poświęca ośmiostrofkowy wiersz („Satyra", Szpilki, nr 21)? Gdzie szerzy się „potworna i powszechna plaga", która wzbudziła gniew i ironię poety? Kiedy „niejeden krzyknie też: — Nie mogę!"? Co jest przyczyną, że „ogarnia wtedy taki wstręt cię"? Podżegacze wojenni? Spekulanci (którym Minkiewicz wystawił mały, ale trwały pomniczek w „Przekroju"?). Biurokraci? Sabotażyści? Bumelanci? Giełdziarze? Kułacy? Wszystko to plagi znane i oklepane. Zwalczają je karykaturzyści, satyrycy, poeci, publicyści. Więc oko autora „Satyry" zagląda, kędy wzrok nie sięga. Do szklanki z mlekiem. W szklance — kożuch! Kożuch w szklance! Przeciąć go cesarskim cięciem! I mamy długi wiersz o kożuchach z mleka. W barach mlecznych

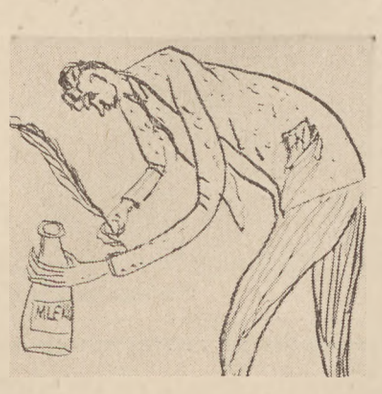

SPROSTOWANIE

W n-rze 8 „Nowej Kultury" znalazły się następujące błędy, które niniejszym prostujemy:

W artykule Zofii Lissy „Bach po 200 latach" str. 5, szp. 5 a capit „Gdy Bach umierał..." winien brzmieć: „Gdy Bach umierał w r. 1750, od kilku lat ślepy, jeszcze nie wyszły pierwsze symfonie Haydna, jeszcze nie urodził się Mozart, ale przełom, który i Bach przygotował..."

oraz w czwartej fraszce Stanisława Jerzego Leca na str. 12-ej, gdzie wiersz pierwszy winien brzmieć: „Ich siec satyrą? a nie Ich sieć satyrą".

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 95. Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 100—: kwartalnie zł 300—: półrocznie zł 600—: rocznie zł 1200—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.
Cena ogłoszeń: zł. 180 za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń Czytelnik, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.
Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5
B-110740